WIA

w n m

Leon Chrzanowski
U [illegible]

Prof. M. Handelsman
[illegible] Limanowski

Dr. W. Dybowski
[illegible]

Dr. Maria Kosterska
Grób M. Mochnackiego w A[illegible]

Wanda Brzeska
Czwartki [illegible]literackie w Poznaniu

Zofja Żurakowska
„Chłopcy na [illegible]”

H. Korolec-Buj[illegible]owska
Od Wa[illegible] do Szanghaju
(reportaż z podróży)

Wszędzie biurokracja...
(felieton)

Barry Pain
Zgubiony czek (nowela)

Tydzień „Świata”

Teatr, film



Gorczyńska jako piękna lady Milford [illegible] ci” Fr. Schillera

Kurs ogrodnictwa

Koło Miłośników Ogrodnictwa niniejszem zawiadamia, że termin rozpoczęcia Cyklu III — Sadownictwo i Owocarstwo — prelegent p. Inspektor Edmund BŁASZCZYK — ze względu na wakacje świąteczne zostaje przesunięty na dzień 15 stycznia 1935 r. Wykłady na tym Cyklu wyjątkowo odbywać się będą codziennie w celu dogonienia programu w godz. 6—8 wiecz. w sali Tow. Ogrodn. Warsz. — Bagatela 3, przyczem Cykl ten jak wszystkie inne stanowi zamkniętą całość.

Informacje i zapisy: Biuro K. M. O. Al. Jerozolimskie 20 m. 16, tel. 632-70, Kierowniczka Kursu p. Wysocka — tel. 840-18, Skład Nasion B-ci Chomicz — Zgoda 8, Skład Nasion C. Ulrich — Sienkiewicza 11 oraz od dnia 15 stycznia 1935 na miejscu od godz. 6-ej wiecz. — Bagatela 3.

ZŁÓŻ OFIARĘ NA
POWODZIAN
KONTO P. K. O. 2200

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXX. Nr. 1 5.I.1935

Wszystkim Prenumeratorom, Czytelnikom i Przyjaciołom naszego wydawnictwa przesyłamy serdeczne życzenia noworoczne,

REDAKCJA „ŚWIATA"

L. CHRZANOWSKI

UJEMNY BILANS

„To nie pacyfizm tworzy prawdziwy pokój — to miecz narodu władców (Herrenvolk), który oddaje świat pod władzę wyższej kultury..."

(Mein Kampf).

O narodzie władców, o wyższej kulturze niemieckiej słyszeliśmy od Niemiec Wilhelma II! W imię wyższej kultury wywłaszczano w Poznańskiem, bito we Wrześni, wynaradawiano w Alzacji, oprymowano inne o „niższej kulturze" narodowe mniejszości, jak Duńczycy, Polacy i inni.

Wyższość kulturalna Niemiec i teorja o ich posłannictwie panowania nad światem nie jest ani wynalazkiem Wilhelmów, ani Hitlera. Tym władcom i politykom i filozofowie szli w sukurs,—podobne zdania znajdujemy i u Fichtego, który dowodzi, że „naród metafizycznie najbardziej zdolny ma prawo realizowania swych przeznaczeń za pomocą wszystkich środków swej wytrwałości i siły". Filozofowie, cesarze, uczeni, generałowie, naziści i demokraci, hitlerowcy i centrowcy — wszyscy w Niemczech przejęci są tem mniemaniem, więcej nawet: wiarą w niemieckie posłannictwo panowania nad światem.

Błąd powojennej a specjalnie polokarneńskiej dyplomacji polegał na niedocenianiu psychologji niemieckiego stanu wiary.

Dyskutowano, pertraktowano z ludźmi, którzy „wszelkiemi środkami tężyzny i siły" dążyli do zdobycia przemocy i postawienia na swojem. Wytrwale i dobrotliwie argumentowano, starając się im wytłomaczyć, że ...nie mają racji. Proszę przekonać gracza w chwili hazardowej gry, kiedy mu karta idzie i gdy ogrywa partnerów, iż hazard to rzecz niemoralna. Odpowie: „pocoście siadali do stołu?"

Niemcy kilkakrotnie w rokowaniach dyplomatycznych, gdy im „karta nie szła", wstawali od stołu gry — a gdy im pocichu pobłażliwi partnerzy dodawali po parę atutów — do gry wracali.

Wracali i wygrywali.

Jakiż jest bowiem fakt dominujący w polityce roku 1934, kończącego się „znakomitem" odprężeniem saarskiem?

Tym faktem dominującym jest

dozbrojenie się Niemiec.

Po roku 1918 Niemcy nie były zdolne do prowadzenia wojny. Od chwili jednak, gdy zaczęły łamać klauzule traktatu Wersalskiego, gdy dzięki karygodnej lekkomyślności dyplomacji całego świata zaczęły się coraz otwarciej zbroić — do prowadzenia wojny już dziś są gotowe. *Nie są jeszcze gotowe do odniesienia zwycięstwa i to stanowi o chwilowem bezpieczeństwie Europy.* To umożliwia jeszcze odparowanie katastrofy, o ile w tym momencie narody Europy zdecydują się na solidarną politykę i dyplomację. Dotychczas kancelarje ministerstw i archiwa Ligi Narodów znały prawdę zbrojeń niemieckich — ale zwyczajem monoklowej, jednoocznej spostrzegawczości dyplomatycznej prawdę chowano pod sukno... „Maluczkich" nie chciano niepokoić — pertraktowano sekretnie, poufnie, taj-

nie, supertajnie i dogadano się do jawnego dozbrojenia się Niemiec.

Była to istotnie super-mądrość i doprowadziła do takiego super-rezultatu!

W chwili obecnej jedynym plusem sytuacji jest otwarte mówienie o tym stanie rzeczy, jest pewna niewątpliwa zmiana ustosunkowania się do niebezpieczeństwa niemieckiego.

Dziś zaczyna zdobywać teren pewność, iż dalsza polityka ustępstw w stosunku do Niemiec może tylko istniejące niebezpieczeństwo powiększyć.

Od chwili, gdy to skonstatowano nareszcie słowami tak autorytatywnemi, jak marszałka Petain, Baldwina, W. Churchilla, gen. Niessel, który wykazał w prasie dziedziny, gdzie Niemcy już dziś mogą być silniejsze od Francji, od tej chwili wiadomo powszechnie, że rok 1934

zabił ideę rozbrojenia

Nikt już teraz nie może poważnie mówić o ograniczaniu zbrojeń, o ile nie chce umożliwiać supremacji Niemiec! Konferencja Rozbrojeniowa staje się smutną farsą, a jej aktorzy smętnemi marjonetkami.

Rok, który mija, przyniósł kompromis w sprawie Zagłębia Saary. Plebiscyt 13 stycznia zamknie ten rozdział powojenny. Przeszedłszy ten etap, Niemcy będą mogły intensywniej spojrzeć w inną stronę. Wówczas problemat Austrji, problemat anszlusu nabierze nowej ostrości.

O tych wszystkich możliwościach, o tych wszystkich niebezpieczeństwach trzeba i należy mówić stale, wszędzie, bez obsłonek. Trzeba budzić czujność i trzymać ją w stanie niesłabnącego pogotowia.

Tylko taką metodą można niebezpieczeństwa zmniejszać lub im zapobiegać. Obrazem aktywnej przezorności i dyplomatycznej lekkomyślności jest djalog, jaki miał miejsce w senacie francuskim między senatorem Lemery a Caillaux, senatorem radykalno-społecznym, politykiem starej szkoły i.... starych sympatyj.

— Niemcy, mówił Lemery — są w stanie gotowości z 1914 r., a myśmy cofnęli się do armji z 1870 roku! —

„Gdyby nawet tak było — przerwał mu Caillaux — lepiej by nie mówić tego!"

Oto wzór strusiej polityki — konsekwentnie zresztą prowadzonej przez całą dyplomację od chwili, gdy Niemcy zaczęły przekraczać, łamać, obchodzić paragrafy traktatu wersalskiego. Ta polityka flirtu ze sztyletem zawsze się kończy fiaskiem dla flirtującego. Zdawałoby się, że to takie stare, oklepane prawdy — a jednak powtarzanie ich jest ciągle aktualne wobec braku spoistości w polityce państw Europy.

Chwilami zdaje się, iż zaczyna dziać się lepiej. Zdaje się, że bielmo schodzi z oczu ufnisiów dyplomatycznych.

Tak jest w pewnej mierze i w tym końcowym okresie roku 1934. Anglja dojrzała siłę lotnictwa niemieckiego i dając większy posłuch niepokojom francuskim skonstatowała, że brzegi Renu są symboliczną granicą jej bezpieczeństwa.

Dozbrajanie się Niemiec dojrzało wreszcie oko synów Albionu, tak lubującego się w arbitrażowaniu Europie. Dziś nad Tamizą uzmysłowiono sobie, iż arbitrażowanie może nie wystarczyć. Zaczyna się wzmagać świadomość, że naród „filozofów i führerów", dzięki swej wytrwałości bliski jest doprowadzenia swej siły do maksimum.

A że Anglja nie lubi „najsilniejszych" z tej strony La Manche'u, więc uśmiech jej dla Francji staje się coraz jaśniejszy, a mars w stosunku do Niemiec pogłębia się. Trzeba, aby to spostrzegli również ci wszyscy, którzy widzieli dąsy Anglji na Francję przed rokiem. Nie trzeba sądzić, że „dąsy" Anglji są wieczne. Należy pamiętać, że zwroty Anglji są szybkie, skoro decyzja jest powzięta.

Włochy również, zdecydowawszy się na zdefinjowanie niebezpieczeństwa niemieckiego, realistycznie spojrzały na swe nieporozumienia z Jugosławją i z Francją. Są więc w tym mroku i mgle starych błędów pewne jaśniejsze przebłyski, mogą być one zbawienne, ale... pod warunkiem, aby się stały wytrwałe!

Choć w połowie tak wytrwałe, jak konsekwencja i wytrwałość narodu... uzbrojonych filozofów!



Śnieg na Hali Gąsienicowej Fot. Wieczorek

PROF. MARCELI HANDELSMAN

BOLESŁAW LIMANOWSKI

Przed kilkunastu dniami odbyła się wyjątkowa uroczystość w Uniwersytecie Warszawskim: nadanie doktoratu honorowego Bolesławowi Limanowskiemu w związku z wejściem w setny rok życia. Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Warszawskiego pragnął uczcić zasługi człowieka, złożyć hołd idei, której symbolem od trzech przynajmniej pokoleń jest czcigodny historyk.

Urodzony bezpośrednio po wojnie polsko - rosyjskiej trzydziestego pierwszego roku na dalekich północnych kresach dawnej Rzeczypospolitej, w okresie przedpowstaniowym należał do najczynniejszych z pośród ówczesnej młodzieży litewskiej, lecz, pochwycony przed wybuchem styczniowym i zesłany, w powstaniu samem udziału czynnego wziąć nie mógł. I to było tragedją całego jego dalszego życia. Już wówczas powstał zasadniczy zrąb jego przekonań, którym pozostał wierny przez całe życie: nie może być sprawiedliwości na świecie bez wolności dla narodu polskiego, nie może być prawdziwej wolności narodu — bez sprawiedliwości społecznej, bez praw dla chłopa, bez uwzględnienia interesów robotnika, bez równouprawnienia dla wszystkich innych narodowości, zamieszkujących Rzeczpospolitę. Wyznawca zasad czerwonych w okresie przedpowstaniowym, po powstaniu na krótkotrwałym pobycie w Galicji i na emigracji w Genewie jeden z pierwszych głosicieli socjalizmu idealistycznego w Polsce w przeciwstawieniu do przeważającego wówczas nawskroś międzynarodowego, apaństwowego kierunku w socjalizmie polskim, jako bezwzględny wyznawca zasady niepodległości był jednym z twórców programu PPS z roku 1892 i pozostał mu wiernym do wielkiej wojny i w czasie wielkiej wojny, by później w odbudowanej Rzeczypospolitej jako jej senator wyprowadzać wszystkie konsekwencje z założeń ideologicznych swojego systemu życiowego.

A system ten został zbudowany wielkim wysiłkiem, przedewszystkiem ofiarą osobistą, na podstawie głębokich, gruntownych poszukiwań naukowych. Urywając czasu godzinom pracy zarobkowej, po nocach, w najcięższych warunkach życia emigranckiego, w dobie, jak się wydawało najbardziej beznadziejnej, szukał w przeszłości uzasadnienia dla swojej wiary. Jako socjolog badał wszystkie najgłówniejsze systemy wieku XVIII i XIX (rzecz przedziwna, mimo olbrzymiego rozwoju badań nad temi tematami wciągu lat pięćdziesięciu książki jego zachowały całą swoją wartość). Mozolnym wysiłkiem dochodził od zdobycia dla siebie do możliwości sformułowania i określenia dla innych, czem jest naród i państwo, jakim jest i być musi wzajemny, dynamiczny stosunek tych sił i czemu należy dążyć do odbudowania państwa polskiego. Do spraw tych podchodził z innej jeszcze strony, czysto historycznej, wyłącznie narodowej, ale i tu pracę jego charakteryzuje podwójny stosunek. Z jednej strony z żelazną rzeczywiście wytrwałością zebrał i uporządkował cały olbrzymi materjał źródeł drukowanych i to wszystko z rękopisów, co było mu dostępne na emigracji, ażeby wydobyć i oświetlić żywotność i nowoczesność narodu polskiego, te wszystkie siły, które szły w nim do walki o niepodległość i sprawiedliwość społeczną. Jeden z pierwszych, kontynuator ideologji Lelewela, dał demokratyczną konstrukcję powstania 63 roku, zbadał i naświetlił rozwój idej demokratycznych w Polsce XVIII i XIX wieku, scharakteryzował głównych działaczy wielkiej emigracji, Stanisława Worcella i innych „szermierzy wolności", wydobył zasadnicze ideologiczne pierwiastki genezy polskiego socjalizmu, nie cofając się przed opisaniem najtragiczniejszych momentów historji tego ruchu, przed 1846 rokiem.

Obok tej pracy ściśle naukowej Limanowski poświęcił się pracy popularyzatorskiej.

Dla dawniejszego i następnego pokolenia aż do czasów wojny r. 1920 był prawdziwym nauczycielem historji ojczystej czasów najnowszych, przeniknięte] głębokim duchem demokratyzmu, wiarą w skuteczność nowych wysiłków wyzwoleńczych, w konieczność ofiary, ale zarazem był wyznawcą przedewszystkiem i wyłącznie prawdy tak, jak ją można ze źródeł wydobyć. Na jego stuletniej walce o niepodległość kształciło się całe młode pokolenie, które do czynu popchnęła obok tego powieść Sienkiewicza i Żeromskiego, poezja Wyspiańskiego.

Ten cichy, skromny, subtelny staruszek, bo starcem już tylko znało go całe dzisiejsze działające pokolenie, usuwający osobę swoją w cień zawsze, kiedy chodziło o *jego* prawa czy jego interesy, stawał się bezwzględnym i nieprzejednanym, kiedy w grę wchodziły sprawy jego przekonań naukowych, społecznych, narodowych czy moralnych. Zwłaszcza moralnych! I to go stawia na równi z wielkiemi postaciami naszej przeszłości, tymi wszystkimi, którzy życie swoje ponieśli w ofierze dla zwycięstwa swej wiary!

NA GROBIE M. MOCHNACKIEGO

W STULECIE ŚMIERCI

(Koresp. własna „Świata")

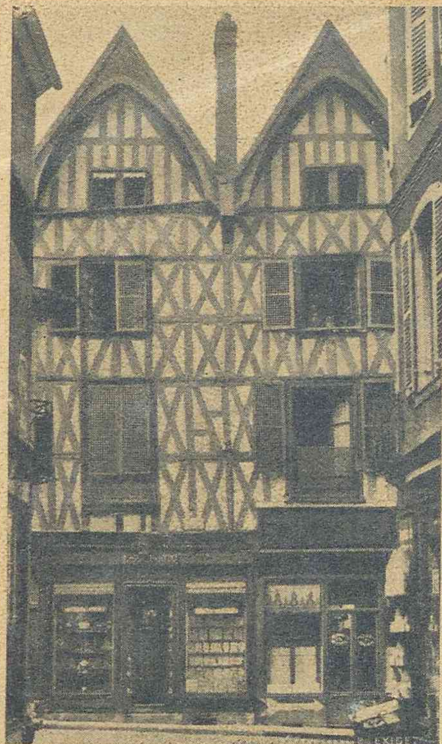


Grób Mochnackiego w Auxerre

Mamy obejrzeć grób Mochnackiego, skonstatować, w jakim stanie się znajduje, czy wymaga naprawy. Tyle grobów na cmentarzach paryskich potrzebowałoby ratunku. Ale setna rocznica śmierci Mochnackiego wymaga teraz jakiegoś uczczenia.

O wpół do dziesiątej jesteśmy w Auxerre. Miasto leży nad rzeką, wśród wzgórz o lekkich, falistych linjach, które Maurycy Mochnacki nazywa szumnie „górami". Bodaj to ci romantycy, wszystko widzieli oczyma własnej wyobraźni! Rzeka Yonne, czysta i jasna, malowniczo odbija wieże kościołów i ładne mosty. Łatwo zrozumieć, że Auxerre mogło podobać się Maurycemu Mochnackiemu. Mieszkał nad rzeką, na ulicy, o której sam pisze, że jeszcze nie ma nazwy, ale która podobno odpowiada dzisiejszej „rue de la Tannerie".

Od dworca kolei do właściwego starego miasta Auxerre spory kawałek drogi. Idziemy pieszo, korzystając z pięknej, prawie wiosennej pogody, tak rzadkiej o tej porze we Francji. Koło mostu jakaś stara kobieta pierze bieliznę kijanką, jak na polskiej wsi; na tarasie jakiejś willi siedzi mały fox i zapamiętale ujada na nas. Jest w tem mieście coś dobrego, swojskiego i mimowoli przypominają



Auxerre — dom drewniany z XVI wieku

się słowa Mochnackiego z listu do matki: „tu, za temi górami odetchnąłem cokolwiek; tak tu jest miło i cicho".

Auxerre, jak wiele miast prowincjonalnych francuskich, posiada bardzo piękne kościoły. Katedra św. Stefana, zbudowana od 386 — 415 r., później przebudowana w 1030 r. i wreszcie od 1215 do 1234 r. przez biskupa Guillaume de Segnelay, została wykończona ostatecznie w XVI-tym wieku i jest ogólnie uważana za jeden z najdoskonalszych typów architektury gotyckiej. Maurycy Mochnacki musiał ją lubić, bo pisząc o jego śmierci, Antoni Woźnicki wspomina o tem, jak mu tłomaczył, że jest zawsze dużo duchów dookoła tego kościoła. W tej też katedrze o cudnych witrażach, niby mozaiki z drogich kamieni, odbył się pogrzeb Mochnackiego, w którym wzięło udział całe miasto. Już wtedy przepyszny jej portal musiał być uszkodzony przez wandalów wielkiej Rewolucji francuskiej, którzy zniszczyli, lub uszkodzili tyle dzieł sztuki.

Przechodzimy pod ładną i oryginalną Bramą Zegarową, której wieża i mury są jeszcze z czasów gallo - romańskich, poczem długą ulicą du Temple — byli tu snać niegdyś Templarjusze — idziemy na cmentarz. Stary cmentarz znajduje się za miastem, bardzo blizko zresztą. Sprawia miłe wrażenie, a cmentarze paryskie mogłyby mu pozazdrościć porządku i czystości grobów i alei. Pytamy stróża cmentarnego o grób Mochnackiego, ale niema o co pytać, grób zdaleka widny jak na dłoni, znajdując się prawie przy wielkiej bramie cmentarza. Kolumna prosta, bez żadnych ozdób i biust Maurycego Mochnackiego, roboty Władysława Oleszczyńskiego. Biust z bronzu, który czas powlókł patyną ciemnawą. Mogiła zapadła się trochę i zrównała z poziomem alei, ale czysta i trochę białym żwirem przysypana. Sam biust w dobrym stanie, ale kwadratowa kolumna nieco mchem porosła i napisy zaczynają się zacierać. Odnowiła go niegdyś emigracyjna Komisja Opieki nad Grobami Polskiemi we Francji, teraz na nas kolej. Dozorca cmentarny ma usypać mogiłę z białego żwiru i odczyścić kolumnę. Przytem otoczy się mogiłę zielonym wiecznie, strzyżonym bukszpanem, łatwym do utrzymania i niekosztownym.

Na grobie Mochnackiego czytamy następujące napisy:

Na biuście z frontu:

MAURYCY MOCHNACKI.

Z tyłu pomnika napis polski:

Maurycemu Mochnackiemu
Towarzysze
Ze składki bratniej
postawili
ten pomnik.

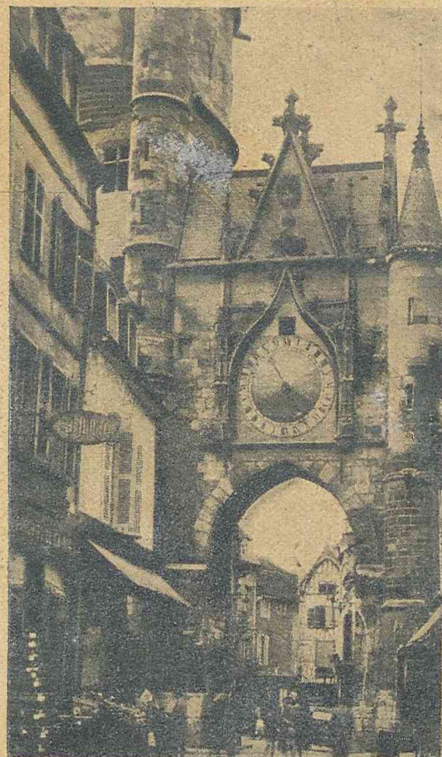
Z boku pomnika po prawej stronie:

Décédé
le 20 décembre
1834.

Wreszcie po lewej stronie:

Wladislaus Oleszczyński
Polonus sculpsit.

Auxerre otacza pewnym pietyzmem ten grób, gdyż całe misato jest bardzo polonofilsko nastrojone. I dla łatwo zrozumiałych powodów. Oto na cmentarzu w Auxerre widzimy wiele grobów rodzin, jak Kłobukowscy, Fijałkowscy, Konarscy, Parczewscy etc... Są to groby oficerów polskich i ich rodzin, z których kilka osiadło na zawsze w Auxerre. Potomkowie ich zajmują dziś wybitne stanowiska. — Kłobukowscy n.p. w dyplomacji francuskiej — są francuskimi obywatelami, ale nie zapomnieli ani o Polsce, ani o swem polskiem pochodzeniu. Wielu też mieszkańców Auxerre żywo interesuje się Polską; niejeden posunął swe sympatje polskie aż do podróży do Polski. Obchód, który odbędzie się w Auxerre dnia 6 stycznia 1935 r. na cześć Maurycego Mochnackiego, zgromadzi zarówno Polaków, jak Francuzów.



Wieża zegarowa w Auxerre

Wychodząc z cmentarza, idziemy odwiedzić p. Berthier, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli handlowego świata w Auxerre. Przyjmuje nas z entuzjazmem, sam ofiaruje nam udział byłych kombatantów francuskich, pomoc w urządzeniu wieczoru, salę, oraz mówi nam o Warszawie, Krakowie i Poznaniu. Idziemy potem do p. Moreau, nauczyciela gimnazjum; ten zna jeszcze i Częstochowę, i Polesie, i Wilno. Te same sympatje dla Polski i Polaków.

Ale nie trzeba sądzić, że Auxerre jest jedynie rodzajem muzeum pełnego wspomnień. Życie tu aż kipi. A już gastronomom i amatorom wina można śmiało polecić pobyt w tem mieście. Jak żyję, nie widziałam tylu cukierni, restauracyj i innych przybytków gastronomicznych. Trudno, tradycja burgundzka. I tem milej mi było skonstatować, że w owem mieście o pięknej przeszłości i pamiątkach, ale bardzo żywotnem i żywem, kult dla zmarłych Polaków i pamięć o nich łączy się ze szczerą sympatją i przyjaźnią dla żywej, współczesnej Polski XX-go wieku.

Dr. M. Kasterska.

Doc. Dr. WŁ. DYBOWSKI

SPORT W ZIMIE

Pytano lekarza o opinję o sporcie w zimie. Naturalnie była ona dla zimowych gałęzi sportu bardzo korzystna, na czele zaś stało narciarstwo. Wyrywa ono człowieka z miasta, tak brzydkiego, brudnego i ponurego w zimie, z gnuśności fizycznej, daje mu ruch w kryształowem powietrzu czy to pól i lasów zamiejskich czy też gór karpackich lub tatrzańskich.

Dużą przyjemność stanowi też fakt przemożenia przyrody, która chciała nas zamknąć w ciepłym pokoju, a tymczasem przezwyciężamy swą obawę przed zimnem i mrozem, z całą przyjemnością poddajemy się mroźnemu owiewowi, krew żywiej krąży, ruszamy się raźniej, żywsi, rozbudzeni i odświeżeni wracamy z mroźnej przechadzki czy wycieczki narciarskiej. Groźne moce przyrody skuwają opoką lodu wody i bagna, nierówności i trudności terenu przysypują srebrnym puchem śniegu, ścielą pod nogi narciarzowi najświetniejszą ścieżkę, która go wszędzie szybko, wygodnie i lekko zaprowadzi. Dzięki chytrej sztuce, tkwiącej w dziwnie giętych i ciętych deskach nart, dzięki najnowszej chytrości kunsztownych smarów narciarskich, wcieranych, wpalanych, wprasowywanych w deski, sprytne czworonogi narciarskie biegną w górę i w dół, suną po równem znacznie szybciej, niż na piechotę, bez wysiłku i bez zmęczenia. Najwyżej ocenić należy tę bezgraniczną wolność narciarza, gdy stanie na swych deskach i spojrzy na cały srebrny i biały świat, stojący dla niego i jego desek otworem, podczas gdy zwykli śmiertelnicy chodzą grzecznie po odmiecionych drogach i ścieżkach jedynie. Uczucie to wolności, tak rzadkie w życiu miejskiem, ciasnem i skrępowanem, stanowi ważną cechę narciarstwa. Inne gałęzie sportu w zimie go nie dają, gdyż łyżwiarz związany jest ze ślizgawką, saneczkarz z torem.

Nawet komiczne strony narciarstwa, jak wieczne dyskusje o smarach i więdźbach, o właściwej długości nart, mają swe dodatnie znaczenie; już w pociągu zapominamy o swych troskach i kłopotach i omawiamy te wieczne kwestje, czy też jeszcze trudniejszą do rozstrzygnięcia przepowiednię pogody i jakości oraz ilości śniegu.

Inne zimowe gałęzie sportu, jak łyżwiarstwo ze swemi odmianami jazdy sztucznej i szybkiej, ze wspaniałą grą w hokeja na lodzie, nie dają już tak wyraźnych korzyści zdrowotnych, jak narciarstwo.

Hokej na lodzie, to domena młodzieży, błyskawiczna orjentacja, bajeczny wzrok, regularność i szybkość, ogromna technika jazdy na łyżwach, oto wymagania gry, które rozwinąć się mogą na podłożu dobrego ogólnego wyrobienia i opanowania ciała, aż do porywającego masy widoku przy inteligentnym i dobrze zgranym zespole.

Sztuczna jazda na łyżwach daje dużo zadowolenia, choć wymaga bardzo żmudnej i długiej pracy, jest zaś nabytkiem bardzo cennym, bo należy do tych rzadkich gałęzi sportu, które są dostępne również dla słabszych fizycznie i pozostaje dostępną do późnego wieku.

Szybka jazda na łyżwach, to znów ćwiczenie natężające, wymagające wielostronnego przygotowania, niedostępne dla mas. Łyżwiarstwo jako całość, choć przywiązane do miejsca, ma bardzo duże zalety zdrowotne, szybki ruch na mrozie daje ogromne orzeźwienie, silne podwyższenie przemiany materji, przyspieszenie obiegu krwi i oddechu. Nie należy też zapominać o wpływie psychicznym beztroskiego posuwania się, prawie bez pracy, lekko, zgrabnie po kryształowej tafli lodowej.

Saneczkarstwo wkońcu, to masowa zabawa najmłodszych w błogosławionych miastach i miasteczkach, gdzie mądre zarządy pozwalają na zjazdy w parkach i po ścieżkach. Małe pociechy, już od lat 4-ech, zjeżdżają z malutkich górek, wdrapują się z powrotem, roześmiane, rozradowane bawią się doskonale, bez pomocy starszych, a jedynie pod ich czujnem okiem. Dzieci starsze, od lat 14 do 16, zjeżdżają już ze zjazdów dalszych, ze skrętami, często w terenie falistym, dają sobie również doskonale radę same. Pamiętać należy, że osoby dorosłe nie powinny zjeżdżać wraz z dziećmi, gdyż są za ciężkie i w razie upadku ciężka ich masa rozpędzona spowodować może wypadek już tam, gdzie upadek małych i lekkich dzieci sprowadza jedynie parę wywrotów i dużo śmiechu. Saneczkarstwo dorastających i dorosłych to gałęź sportu z posmakiem dreszczyku niebezpieczeństwa, odbywająca się na nielicznych torach, niezawsze bezpiecznych, zwłaszcza tam, gdzie w grę wchodzi zjazd na czas rekordowy. Zjazdy takie stawiają już bardzo wielkie wymagania, szybkość i pewność reakcji musi być bardzo duża, orjentacja w terenie, wyczucie szybkości bardzo dobre, trzeba więc ostrożnego przechodzenia od zjazdów łatwych do coraz trudniejszych, długotrwałego nabierania wprawy.

Wracając do ogólnego omówienia kwestji sportu w zimie, należy przypomnieć i wyraźnie podkreślić, że poza sztuczną jazdą na łyżwach i saneczkarstwem najmłodszych wszystkie inne zimowe gałęzie sportu, a zwłaszcza narciarstwo, wymagają wyrobienia, wytrzymałości i pewnej „formy" sportowej. Kajaki w lecie i we wczesnej jesieni, trochę pływania, a od października nic poza strzelaniem to zbytnie lenistwo, które się potem mści, zwłaszcza gdy zaraz po tych wywczasach nagle w grudniu nastąpi wyjazd na Święta do Zakopanego czy Krynicy na narty, a tam w dzień kurs parogodzinny na nartach, wieczorem zaś dancing i bridge. Taki system łatwo prowadzi do zmęczenia tak silnego, że przy grudniowych, skąpych jeszcze śniegach upadki będą częste, bolesne, pozostawiają ślady tęczowo - sine, pięknie zaczęty kurs kończy się okładami w łóżku i powrotem że znacznem zmęczeniem zamiast wypoczynku. Znacznie mądrzej będzie przygotować się do sezonu miarowo i metodycznie. W jesieni dobrze zrobi gimnastyka w wesołym i możliwie jednolitym zespole, nieco biegów na przełaj i marszów, także dla pań, a dopiero potem wyjazd na kurs czy wycieczkę, gdzie o śnie i wypoczynku zapominać nie należy.

W mroźnem powietrzu zimowem, w skrzeniu się brylantów śniegu i okiści, w wolności ruchu na bieli zimowej, w bajecznej dali widoków zimowych tkwią zarazki beztroski i humoru, wesołości i młodzieńczej lekkomyślności. W sumie daje to doskonały wypoczynek i odświeżenie umysłu, odmładza o lata całe nawet mocno już starszych.

Wkońcu — chytra rada. Zacznijcie! Spróbujcie! Nałóg to tak sprytny, tak chwytający w swe szpony, że kto raz spróbuje, ten już nie potrafi się oderwać, pozostanie adeptem zimowych rozkoszy, zima przerodzi się dla niego z groźnej i srogiej w zaczarowaną królewnę o srebrno - białych szatach, nagradzającą swych wiernych najpiękniejszemi widokami zimowej natury.

Tor ćwiczebny w Paryżu



Narciarze francuscy nigdy nie wyjeżdżają w teren bez uprzedniej suchej zaprawy. Przed sezonem nart tor ćwiczebny cieszy się wielkiem powodzeniem.

ŚWIAT TEATRU

Teatr Nowy, „Henryk IV" L. Pirandella

Jest w „Henryku IV" taka scena, w której obłąkany pseudo-cesarz żegna gości przybyłych do niego w odwiedziny. Odprowadza ich do drzwi z pokornemi ukłonami — jako że czeka na zmiłowanie papieża w Canossie i przejęty jest pokutą i skruchą. A ledwo za tamtymi drzwi się zamknęły, odwraca się błyskawicznie i zmieniony do niepoznania rzuca z niepohamowanym impetem przytomne inwektywy za tymi, którzy wyszli. „Błazny! Błazny! Błazny!" — woła oburzony — i w wybuchowym monologu odsłania przed nami prawdę: że wcale nie jest warjatem, że mu się tylko podoba warjata udawać.

Ta scena jest w tragedji Pirandella punktem kulminacyjnym. Napisana przez niezrównanego majstra sceny — przerzuca widza z nastroju w nastrój i zrywa całą mgłę niedomówień i wątpliwości, jaka otacza szaleńca. Ale zagrać tę scenę trzeba ściśle tak, jak ją napisał autor. Niestety w ujęciu reżyserskiem Ziembińskiego wypadło to zgoła inaczej. Henryk IV nietylko swych gości odprowadza do drzwi, ale z nimi wogóle wychodzi. Przez długą chwilę zostają na scenie osoby drugorzędne, zaczynają coś do siebie przebąkiwać, skupiona groza, którą autor i aktor skoncentrowali przed widzem, rozprasza się — i wtedy dopiero Henryk IV wraca z za sceny i zaczyna swój monolog o błaznach. Metamorfoza obłąkanego w przytomnego, która powinna dokonywać się z szybkością błyskawiczną w naszych oczach — w tem ujęciu rozwleka się i przepada. Wielka spowiedź — zamiast zaczynać się od efektu najsilniejszego, zaczyna się wogóle bez efektu.

To nie jest drobiazg. Ujęcie tej sceny — djametralnie sprzeczne z intencjami autora i z jego wskazówkami reżyserskiemi — dowodzi, że młody i pomysłowy reżyser Ziembiński nie przeniknął do głębi myśli Pirandella. Nietylko w tej jednej scenie...

Jeżeli „Henryk IV" w Teatrze Nowym nie osiąga pełni wrażenia, to zawinił tu także wybór sali. „Henryk IV" nie jest sztuką kameralną. Jest to przedewszystkiem sztuka, w której fikcja teatralna zagęszcza się bardziej niż gdzieindziej: przecież patrzymy nietylko na teatr, ale na teatr w teatrze, na fikcję obłąkania, stworzoną przez bohatera tak, że i widz uledz musi złudzeniu. Dystans sceny jest tu walorem niezastąpionym. Tego dystansu niema i być nie może w Teatrze Nowym, gdzie aktorzy depczą po nogach widzom z pierwszego rzędu krzeseł, gdzie akustyka jest specjalnie przykra i twarda (przez kanciastość sali, czy przez zupełny brak tkanin?) — gdzie wreszcie nawet gra świateł jest dziwnie prymitywna.



K. Junosza - Stępowski w roli Henryka IV Fot. Malarski

W tych warunkach nawet Junoszy - Stępowskiemu trudno było stworzyć szaleńca ściśle zgodnego z zamierzeniami Pirandella. Postać ta mieni się takiem bogactwem danem jej przez autora, że grać ją trzeba jak najprościej. Junosza - Stępowski, może zasugestjonowany bliskością widzów, brakiem rampy, brakiem sceny wogóle—rzeźbił szczegóły, cieniował i podkreślał—tam gdzie można było zadowolić się szerokiemi rzutami. Mimo wszystko rola ta wypadła wspaniale i niezwykle interesująco. Broniszówna odegrała bardzo inteligentnie rolę starzejącej się ale namiętnej kobiety, konsekwentnie postawił postać barona Grolicki, natomiast doktór i reszta zespołu bardzo jeszcze surowa.

Świetna ta sztuka robi jednak ogromne wrażenie, pobudza do myślenia i trzyma uwagę widza od początku do końca w niezwykłem napięciu. *Z. N. Ch.*



Karczewski, Michalak, Pichelski i Roland jako „tajni radcy" szaleńca Fot. Malarski

TEATR MAŁY

„Karolina", komedja W. Sommerset - Maughama, przekład R. Ordyńskiego.

Dość oklepany temat posłużył Sommerset - Maughamowi za wątek do dość wątłej komedji.

Pani Karolina Ashley nie żyje z mężem. Ona w Anglji, on w Indjach ułożyli sobie życie spokojnie i z komfortem. Pani Karolina jest miła i piękna, nic dziwnego, że ma koło siebie kilka serc męskich, nie dających jej zbytnio odczuwać samotności. Jedno z tych serc — Roberta — oddane jej jest na wieki...

Okazuje się jednak, że i wieczność bywa względna. Bo gdy mąż pani Karoliny umiera, i ponętna wdowa może zostać panią Robertową, wierne serce kochanka zaczyna się wahać. Dzieje młodej wdowy układają się jednak pomyślnie dzięki sprytowi jej doktora, który fikcyjnie przywraca życie zmarłemu małżonkowi — i pani Karolina powraca do swego cichego szczęścia z odrobiną doświadczenia życiowego i melancholji.

Doskonale zagrała rolę tytułową świetna w djalogu i geście Mieczysława Ćwiklińska. Równym jej klasą partnerem był Stanisławski jako doktór. Różycki, Gellówna, Buczyńska, dopełniali obsady. W mniejszych zaś rolach wystąpili Brzezińska i Sawan. Przekład R. Ordyńskiego nie pozbawiony usterek.

L. Ch.

TEATR KAMERALNY



„OJCIEC" dramat w 3 aktach A. Strindberga. Reżyserja K. Adwentowicza





Karol Adwentowicz

Z żadną rolą nie jest tak ściśle związane nazwisko aktora, jak nazwisko Adwentowicza ze Strindbergowskim „Ojcem". Wielki tragik polski, stworzywszy tę kreację przed laty mniej więcej trzydziestu, prezentował ją nietylko na wszystkich dużych scenach, lecz na całej niemal prowincji. Zdaje się, że nie było u nas aktora, któryby pokusił się grać „Ojca" po Adwentowiczu.

Sam dramat Strindberga posiada już ustalone klasyfikacje krytyczne i niema potrzeby ich przypominać. Ośrodkiem sztuki i głównym punktem ciężkości jest podejście do roli tytułowej aktora, w danym wypadku Adwentowicza. Bolesną tę postać potraktował artysta wybitnie jednostkowo. Nie stworzył z niej symbolu, personifikującego ogólne, czy społeczne konflikty, lecz ujął ją pod kątem klinicznym, z niesłychaną plastyką realizując typ człowieka chorego, rozkładającego się w koszmarach obłędu. Ta forma interpretacji pozwoliła Adwentowiczowi dać arcydzieło aktorskie.

Drugą nie mniej ważną postać w sztuce, rolę żony, zagrała bardzo ciekawie p. Jasińska. Przez podkreślenie akcentów zimnych, opanowanych i opartych na niewzruszonej logice, stworzyła jaskrawy i przekonywujący kontrast — tragiczny przebieg walki, wygrywanej pewnością zwycięstwa. W rolach drugoplanowych staranni p p. Wójcikiewiczówna, Butkiewicz, Brenn i Zawiłło. Całość przedstawienia cechuje wysoki poziom. *J. S. W.*



Mieczysława Ćwiklińska i S. Stanisławski Fot. Malarski

WANDA BRZESKA

CZWARTKI LITERACKIE

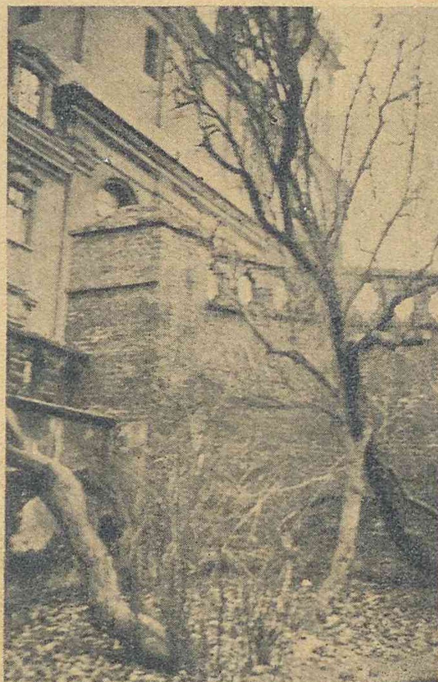
(Koresp. własna z Poznania)

Do Poznania warto przyjechać w czwartek i przed godziną ósmą wieczorem zajechać majestatycznie sunącą jedynką, czyli tramwajem Nr. 1, na Stary Rynek. Bo odrobina patosu jest w naszem mieście jednakże nieodzowną; pilnują tej tradycji tramwaje miejskie, które nie mogą jakoś nabrać tempa.

Wrażenie Starego Rynku jest już raczej miłe i poczciwe. Drzemią, zawieszone u gzemsów małych kamieniczek, przy filarach barokowego odwachu, u wysmukłej wieży ratuszowej wspominki dawnego barwnego życia mieszczańskiego. Przeszłość Poznania, dumna i romantyczna, odżyła znów przez odrestaurowanie i oddanie do publicznego użytku Pałacu Działyńskich.

Co czwartek odbywają się w sali recepcyjnej Pałacu Działyńskich wieczory artystyczno - literackie, urządzane przez miejscowy Związek Literatów. Czwartków takich odbyło się już pięć, nie licząc innych imprez, które odbyły się tutaj i w których brali udział także goście z Warszawy, jak obaj ministrowie Janusz i Wacław Jędrzejewicze, prezes Akademji Literatury Sieroszewski i inni. Powoli, zamiast początkowego niedowierzania zrodził się zapał i dziś, nawet mocno pod szyję zapięte dostojności i ucho nadstawiające snoby spieszą co czwartek w stronę starego miasta, decydując się na to, aby w razie spóźnienia postać godzinkę w ciasno zapchanych drzwiach sali i słuchać wykładu, czy dyskusji. Bo choć sala jest duża i wygodna, ale chętnych jest jeszcze więcej.

Pierwsze dwa czwartki wypełniły wykład i produkcje muzyczne, potem jednak trzeba było zmienić program, a miejsce i czas zostawić dyskusjom, bo, rzecz szczególna, ludzie chcą tu gwałtownie wypowiedzieć się na różne tematy, a zgłaszających się do dyskusji literackiej jest zawsze kilku czy kilkunastu. Omawiano więc np. kwestję stosunku postawy religijnej do twórczości artysty, a głos zabierali zarówno literaci, plastycy, jak również poważni i doskonale do dyskusji przygotowani przedstawiciele światopoglądu katolickiego.



Fragment ogrodu pałacu Działyńskich

Innym razem mówiło się o potrzebach kulturalnych Poznania, przyczem przedstawiciel magistratu dał wyraz programowym poczynaniom władz samorządowych, a młodzi zapaleńcy z pośród braci literackiej wytoczyli ciężkie działa zarzutów i płomienne rzucili rakiety własnych pomysłów i zamiarów. Potem przyszła kolej na roztrząsanie zagadnienia przyszłości cywilizacji, której możliwości optymistyczne wykazywał prof. U.P. Znaniecki, spotykając się z gorącą opozycją jednych i entuzjastycznym poklaskiem innych. W inny czwartek usłyszeliśmy ciekawe wywody prof. U. P. Sobeskiego na temat ekspresjonizmu, przyczem ilustracją do słów prelegenta były deklamacje artystów teatrów poznańskich z zakresu twórczości poetów „Zdroju". Na ostatnim wreszcie wieczorze wypłynęła kwestja krytyki literackiej, gdy dr. Jerzy Koller wypowiedział się na temat bronzownictwa literackiego i literackiego odbronzawiania. I tu znów dyskusja rozwinęła się na wysokim poziomie, a publiczność słuchała chętnie, dając oklaskami wyraz wielkiego swego zainteresowania.

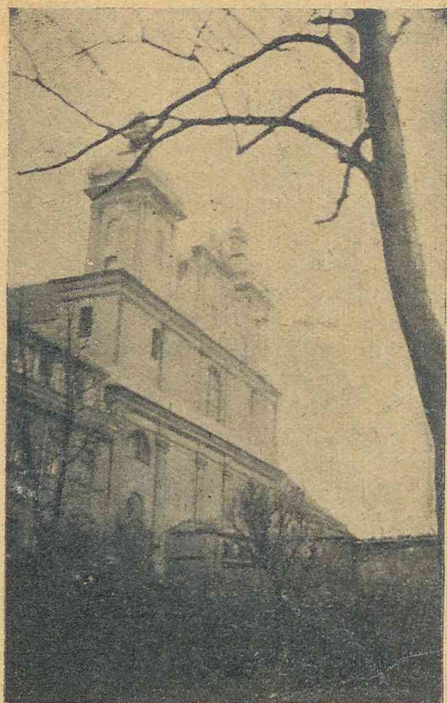


Stary murek ogrodowy przy pałacu Działyńskich

Nie koniec na tem. Bo o nadzwyczajnych poczynaniach stolicy Województwa zwiedziały się już i mniejsze miasta na prowincji i codziennie napływają do dyrekcji Biura w Pałacu Działyńskich listy i dzwonią telefony z zapytaniem, kiedy Zrzeszenie wystąpi z inicjatywą na szeroką skalę po całych Kresach Zachodnich.

Przygotowują się zatem imprezy i dla prowincji. Wyruszą z początkiem stycznia okrężne wystawy obrazów i rzeźb, zespoły muzyków, prelegenci literaccy i deklamatorzy. Specjalnie ukonstytuowana Komisja Artystyczno - Literacka opracowuje akcję planową i programy na daleką metę.

(zdjęcia B. Stelmachowskiej).



Ogród pałacu Działyńskich i kościół O. O. Franciszkanów

ŚWIAT KSIĄŻKI

„JUTRO NIEDZIELA"
Zofji Żurakowskiej,
Wyd. J. Mortkowicza.

Wydane razem dwa dłuższe opowiadania Zofji Żurakowskiej „Jutro niedziela" i „Chłopcy na strychu" trudno jest zakwalifikować: czy jest to literatura „dla młodzieży" czy też „dla dorosłych"? Bo i jedni i drudzy przeczytają te opowiadania z rozkoszą.

Niewymyślna i prosta jest treść pierwszego. W klasie pewnej szkoły zginęła skarbonka, do której dzieci wrzucały datki na pomnik burmistrza. Przerażenie i żałość nauczycielki, oburzenie dzieci, wzajemne podejrzenia, podstępne śledzenie domniemanych sprawców,— wszystkie te przejścia małego ludzkiego zbiorowiska opisane są w sposób mistrzowski.

Cenną zaletą autorki jest połączenie niewątpliwej głębi uczucia z lekkim humorem, jakim owiane jest całe opowiadanie. Aż dziwne, że tendencja tak wybitnie „moralna" — czyli w większości wypadków a priori nudna — znaleźć może wyraz w formie tak pociągającej i zajmującej dla czytelników każdego wieku...

Opowiadanie drugie: „Chłopcy na strychu", odznacza się temi samemi zaletami, choć treść jego bardziej jest skomplikowana i chwilami nieco może sztuczna. Ale znowu prostota opowiadania, znakomita znajomość psychologji dziecka i słoneczny pełen optymizmu humor składają się na rzecz o wartości nieprzeciętnej. Bardzo to wysoki szczebel w hierarchji literackiej, jeżeli można powiedzieć o opowiadaniach autorki, że utwory jej są równorzędne z najmilszą książką Zygmunta Nowakowskiego „Przylądek Dobrej Nadziei".

Z. N. Ch.

ZOFJA ŻURAKOWSKA

„CHŁOPCY NA STRYCHU"

(urywek opowiadania ze zbioru „Jutro niedziela", wyd. J. Mortkowicza).

Ojciec rzeczywiście musiał wkońcu wyjechać do Niemiec. Przez całe pół roku upierał się, że nie wyjedzie i szukał zawzięcie posady, ale rok był ciężki, wszędzie raczej redukowano pracowników, a w Niemczech przyjaciel ojca, jeszcze z czasów uniwersyteckich, raz po raz pisał, prosząc, żeby ojciec przyjeżdżał do jego fabryki. Tak, że wkońcu sami chłopcy, widząc, co się święci i że niedługo nie będzie z czego żyć, namówili ojca na ten wyjazd. Jaś powiedział:

— Tu się w gazecie oddawna ogłasza pewna wdowa, która da lokatorom „macierzyńską opiekę": doskonale; może tatuś nas umieścić u tej wdowy. My już ją dopilnujemy, żeby nas pilnowała.

Wdowa okazała się dość tęga, a jej mieszkanie czarująco czyste — więc ojciec i chłopcy, którzy mieli zaufanie do czystości i tuszy, odrazu się zdecydowali. Ojciec zapłacił za dwa miesiące z góry, powiedział wdowie, że najstarszy Michał i najmłodszy Luś to spokojni chłopcy, ale Jasia trzeba trzymać w ręku — i wyjechał.

Jaś odrazu przemeblował pokój i na tem tle wynikło pierwsze nieporozumienie. Wdowa oznajmiła, że w jej mieszkaniu nie wolno ruszać z miejsca mebli, które stały w tych miejscach jeszcze za życia jej świętej pamięci nieboszczyka ojca.

— To trudno, proszę pani — powiedział Jaś — Luś nie może spać pod oknem — więc kanapka także nie może stać pod oknem, bo z okna wieje.

— Nigdy z tego okna nie wiało— powiedziała obrażona wdowa, więc wszyscy chłopcy podeszli i przykładali rękę do ramy okna i wdowa też przykładała, ale chłopcom wiało, a jej nie wiało.

— Bo pani ma dużo tłuszczu na ręku, to pani nie czuje — powiedział Luś w najniewinniejszej myśli, ale wdowa obraziła się jeszcze więcej i wyraziła obawę, że z Lusiem będzie jeszcze trudniej, niż z Jasiem.

— O nie, proszę pani, — energicznie zaprotestował Jaś — ze mną jest zawsze najtrudniej, jeszcze się pani przekona.

Zdecydowano wkońcu napisać do ojca w kwestji kanapki.

— A narazie kanapka zostanie tutaj—powiedział Jaś i żeby przypieczętować kwestję, rozciągnął się na kanapce w obecności wdowy, która uznała to za obrazę osobistą i wyszła z pokoju.

— Odrazu zaczynasz się awanturować— rzekł Michaś, układając porządniutko swoje książki na półce.

— Wcale nie chodzi o awantury, tylko o to, że Luś nie może spać pod oknem, boby go zawiało i miałbyś babo placek. Oprócz tego trzeba się odrazu postawić, żeby nas szanowali.

Potem zawiniła wdowa. Przy końcu obiadu wyraziła żal, że nie będzie leguminy, bo kot rozlał mleko, przygotowane na kisielek czekoladowy — a ja, moje dzieci, za tanio się ugodziłam z waszym ojcem, żebym mogła wydawać dwa razy pieniądze na leguminę. — Chłopcy nic nie powiedzieli, choć było im przykro, starszym ze względu na ojca, a Lusiowi z powodu leguminy.

Narazie jeszcze nic — wieczorem położyła im kabałę, z której wynikło, że jakaś brunetka źle im życzy, a do Lusia przypłyną wielkie pieniądze.

Kiedy potem w łóżkach mówili o tej kabale, Luś odniósł się do niej marzycielsko, ale starsi bracia mocno go skrytykowali ze stanowiska trzeźwego rozumu.

— Jakaś brunetka źle nam życzy, także wymyśliła! Opłaciłoby się tam komuś źle nam życzyć! A co do tych pieniędzy, to niczego się, Lusiu, nie spodziewaj. Ponieważ w kartach zawsze kiery znaczą miłość, a kara podróże, a piki śmierć lub chorobę, a trefle pieniądze — a innych kart wogóle niema — więc zawsze coś z tych rzeczy wypaść musi, rozumiesz? Takiej wdowie zupełnie wszystko jedno, co, kartom także wszystko jedno — a ten głupi, dla którego stawiają, cieszy się.

— Bo mogła wypaść śmierć albo choroba — zauważył Luś.

— No to co? Gdyby wypadła, to myślisz, żebyś umarł? Djabła tam.

— Przeżegnajcie się i śpijcie — surowo powiedział Michaś.

Jaś uznał, że starszy brat ma rację, ale odkrzyknął hardo: — Sam się przeżegnaj — i dopiero potem zasnął.

Z takiego początku naprawdę trudno było przewidzieć, że z biegiem czasu sprawy bardzo daleko zajdą, ale zaszły. Gromadziły się.

W niedzielę popołudniu do wdowy przychodziła jej rodzina i zasiadała na kanapce w pokoju chłopców. Nazywało się to, że dzieci powinny „zażywać powietrza" — ale Jaś się odrazu zorjentował, że tu chodziło o kanapę, bo taki wuj Ignacy naprzykład miał „rematyzm" w kościach i z tego powodu jakoby musiał miękko siedzieć.

Na owem „powietrzu", w podwórzu, zawierało się najgorsze znajomości i choć to było bardzo przyjemne, choć przeżywało się

rozkosznie dzikie emocje, idąc naprzykład z chłopakami bez biletu do kina, albo jadąc na tylnych buforach tramwaju, jednak wszyscy trzej, a już najsilniej Jaś, odczuwali, że coś tu nie jest w porządku, i że macierzyńska opieka wdowy szwankuje.

— To się nazywa „opiekować"— mówił wieczorem Jaś do swych zgnębionych braci. Taki naprzykład Luś wpadnie pod samochód i co będzie? Albo mnie tramwaj obetnie nogi obydwie aż do pasa! Albo siedzimy w kinie, a tu przychodzi kontrola.

— Coby z nami zrobiła? — zapytał struchlały poniewczasie Luś.

— Kontrola? Do komisarjatu! Policjant by nas zaprowadził.przez całe miasto do więzienia. Ładnieby wdowa wyglądała! Albo czy to możliwe, że my teraz ciągle mówimy cholera, choroba i takie różne słowa bardzo brzydkie — czy to tak było za czasów mamy i tatusia? Mama, trudno, umarła — ale tatuś byłby poprostu oburzony.

— To dlaczegóż mówimy takie słowa! — wykrzyknął zrozpaczony Michaś — przecież wdowa nas do tego nie zmusza! Możemy nie mówić!

— To co innego —rzekł Jaś rozsądnie — ale ona powinna nas przestrzegać. Od tego jest opieka, żeby nas przestrzegała w takich rzeczach, które są przyjemne, ale szkodliwe. Naprzykład wczoraj przyniosłem sobie z kosza książkę — taką „sensacyjną" — czy to powinno tak być? A wdowa do mnie: — jak przeczytasz, to mnie pożycz! — Słyszałeś? Tatuś by powiedział: Skąd wziąłeś te śmiecie? Oddaj zaraz. —

I w tem miejscu Jaś tak świetnie zimitował głos i ruch ojca, że Michaś i Luś odnieśli się do sprawy poważnie.

— Ona się rzeczywiście nami nie opiekuje, — powiedział Michaś.— Jeszcze teraz, kiedy chodzimy do szkoły, to pół biedy, ale co będzie, jak zaczną się wakacje?

— Wtedy to już nie wiem! Będziemy poprostu na głowie chodzić — ponuro przepowiedział Jaś.

Potem obiecał braciom, że coś obmyśli. Tatuś nieraz mówił, że na wszystko jest rada, tylko trzeba nadrobić głową. Otóż on się podejmuje.

I rzeczywiście w jakiś tydzień potem, gdy Michaś z Lusiem wrócili ze szkoły, zastali Jasia, który do szkoły nie poszedł (bo już, już coś wymyśliłem, tylko jeszcze muszę sprawdzić), zastali więc tego Jasia nad listem.

— Pisał do ojca:

„Tatusiu drogi — przenieśliśmy się na inne mieszkanie, bo wdowa wcale się nami nie opiekowała. Bardzo mi przykro, bo ja myślałem, że ona będzie się opiekować, a tymczasem ona tylko cały dzień szoruje podłogi i każe nam nogi wycierać, a my przez ten czas łazimy po rynsztokach, z Bóg wie kim. Chłopcy na ulicy coprawda są tacy sami, jak my i bardzo mili, ale poco w takim razie mamy mieszkać u wdowy z macierzyńską opieką? Więc ponieważ nauczyliśmy się najgorszych słów i jeździmy na buforach tramwajów, a ja już nawet raz, jak się skrzynka z pomarańczami babie rozbiła, to ściągnąłem jedną pomarańczę (połowę dałem coprawda Lusiowi), to już postanowiliśmy, że dosyć tego zgorszenia i przenieśliśmy się od wdowy gdzieindziej".

— Kiedy to nieprawda, bo wcaleśmy się nie przenieśli — powiedział Michaś.

— Tak, ale się zaraz przeniesiemy.

— A gdzie? — zapytał Luś.

— No więc właśnie, zaraz was tam zaprowadzę, to jest bardzo przyzwoity strych.

— A w jaki sposób my się przeniesiemy, kiedy nam nie wystarczy pieniędzy, a u wdowy zapłacone za dwa miesiące zgóry? — zauważył praktyczny Michał.

Okazało się, że Jaś wszystko już obmyślił dokładnie. Właśnie na strychu lokal będzie bardzo tanio kosztował, bo to jest strych nad składem, gdzie nikt nie wiesza bielizny, ani wogóle nic. Jaś już się porozumiał z synem stróża tego podwórka i ten Wacek zgodził się za dwa złote zachować dyskrecję i wogóle tak pokierować losami podwórka, aby nikt nie wpadł na ślad chłopców na strychu.

— Będziemy się mieli doskonale, bardzo duże mieszkanie na drugiem piętrze jest puste, a na pierwszem jest skład starych mebli, a na parterze też jest taka pusta stara szopa, w której dawniej były jakieś tam narzędzia, a dziś nic niema, tylko szmelc i starzyzna, i podobno nikt nigdy nie chodzi.

— No dobrze, a co będzie, jak spotkamy kiedy wdowę? —

— Ale, cholera... — Jaś powiedział całe słowo bardzo dobitnie, bo mieszkał jeszcze u wdowy, — cholera ją spotkamy, bo to jest akurat na drugim końcu miasta. Wiecie, gdzie to jest? Koło zamku!

To już się Michasiowi i Lusiowi bardzo spodobało. Doszli do przekonania, że sąsiedztwo zamku gwarantuje dostojeństwo i powagę sprawie. Wiadoma przecież rzecz, że w zamku mieszka książę z liczną rodziną, taki bogaty, że ma z tysiąc pokoi. Że tam jest masa służby i gości — że biskup tam zajeżdża samochodem i wojewoda. A oprócz tego ojciec był raz w zamku i powiedział, że książę bardzo a bardzo przyzwoity a zacny człowiek. — No więc — dobre znalazłem mieszkanie, czy nie?

Owszem, Michał i Luś zgodzili się, że dobre i przyzwoite, ale co będzie z jedzeniem?

Tu się Jaś tylko roześmiał. To już jest drobiazg — przedewszystkiem mają przecie razem 45 złotych od ojca, na drobne wydatki, a powtóre Wacek i wszystkie chłopaki mówią, że jedzenie to guzik, szczególnie latem. Już w tamtej okolicy niedaleko jest las i można chodzić na grzyby i wogóle. Chodzi tylko o ubranie — chłopaki mówią, że z ubraniem najgorzej, no ale ubrania właśnie mamy najwięcej, ile się podoba.

Michaś się jeszcze trochę wahał:

— Tak, ale przecież tatuś zapłacił wdowie za to wszystko...

— Ba! ale ona się nami nie opiekuje, sam musisz przyznać! — wykrzyknął Jaś, — więc pieniądze się marnują, czy tak, czy tak. Zepsulibyśmy się tu na nic i tatuś potem miałby z nami przykrości. A czy ty chciałbyś, żeby Luś się zepsuł, co?

Nie było rady — Michaś uznał rację tych wywodów i wobec tego Jaś zakończył list:

„Więc prosimy, żeby teraz tatuś pisał do nas poste restante. Pieniędzy nie potrzebujemy, bo na nowem mieszkaniu wszystko mamy. Z wdową rozstaliśmy się w zgodzie i teraz już Luś się nie zmarnuje i ja także, o Michasiu niema mowy, bo on by się czy tak, czy tak nie zmarnował, bo on już jest wyrobiony. Całujemy tatusia parę miljonów razy.

Jaś".

—Skąd ty wiesz, że „z wdową rozstaliśmy się w zgodzie"? — zapytał sceptycznie Michaś.

— Bo ona nic nie będzie wiedziała, że my się przenosimy. A my dziś cały dzień będziemy się przenosić. Po trochu. Każdy z nas weźmie kilka rzeczy i wyjedziemy. Potem znów kilka i znów, aż do końca. —

— — No dobrze już, dobrze — zgodził się Michaś, ale potem, gdy już może piąty raz wędrowali, tym razem z poduszkami (wdowa spała w kuchni), powiedział jeszcze: — Ale co do mnie, to i ja bym się zmarnował, niepotrzebnie napisałeś. Ja już czułem wielkie pokusy, żeby mówić cholera i inne rzeczy.

— No to chwała Bogu — powiedział Jaś i klepnął brata przyjacielsko w plecy.

TYDZIEŃ „ŚWIATA"

Zgon najstarszego aktora polskiego



Podczas świąt Bożego Narodzenia zmarł w Warszawie najstarszy artysta polski, Władysław Krogulski, który blisko 75 lat pracował na scenie.

Urodzony 10 sierpnia 1843 r. w Warszawie, z początku należał do zespołu orkiestry teatru Wielkiego, a następnie w r. 1867 został zaangażowany do Rozmaitości, grywając drobne role charakterystyczne. Interesował się też żywo muzyką, komponując mnóstwo pieśni i utworów fortepianowych, które w swoim czasie cieszyły się dużą popularnością.

Krogulski był entuzjastą teatru i żywą kroniką sceny warszawskiej. Dość często chwytał za pióro, w sposób barwny i rodzajowy kreśląc sylwetki kolegów, epizody zakulisowe i swoje wspomnienia. Był autorem niewydanych w całości „Notatek starego aktora", oraz tomu monografji teatralnych p. t. „Gwiazdy", jak również zapalonym kolekcjonerem notatek, szkiców, fotografji, rękopisów, składających się na bogaty materjał do historji scen warszawskich.

W ciągu pracowitego żywota wystąpił około 9000 razy na scenach stołecznych, a ostatni raz, już jako emeryt, w r. 1930 w teatrze Letnim, w „Maman do wzięcia". Przed kilkunastu laty obdarzony został godnością honorowego członka ZASP'u.

Czego Malthus nie przewidział

(jj) Setna rocznica śmierci Thomasa Roberta Malthusa przypada na dzień 23 b. m.

Podstawą teorji Malthusa, wyłożoną w dziele p. t. „Rozprawa o prawie ludności i jego oddziaływaniu na przyszły postęp społeczny", było twierdzenie, że siła rozrodcza ludzkości jest niewspółmiernie wielka w porównaniu ze zdolnością produkcyjną ziemi i że stąd będą płynęły wszystkie niedole materjalne ludzkości, coraz okrutniejsze.

Teorja Malthusa została podważona zarówno przez ekonomistów „lewicowych", jak i „prawicowych". Niezliczona ilość piór zajmowała się w ciągu XIX w. zbijaniem jego pesymistycznych twierdzeń i ponurych horoskopów.

Dziś, w naszych czasach, nie potrzeba już uciekać się do wielce „uczonych" wywodów, by wykazać, że Malthus się mylił. Świadczy o tem cały obraz rzeczywistości gospodarczej, bardziej ponurej, niż horoskopy Malthusa, ale rozwijającej się w kierunku wprost przeciwnym. Mamy przecież wielką tragedję „nadprodukcji". Wydajność ziemi wzrastała... zbyt szybko. Wydajność ta—dzięki pomocy maszyny — tak się wzmogła, że przy rozumnym podziale dóbr nie byłoby na świecie nędzy. Znakomity ekonomista francuski, Fr. Delaisi w dziele p. t. „Les contradictions du monde moderne" pisze: „Nędza nie jest gospodarczą koniecznością. Jest nią w dzisiejszych ustrojach".

Malthus nie przewidział, że świat kapitalistyczny wypowie walkę „nadprodukcji" przez niszczenie produktów, że tedy owa rzekoma zbyt mała „płodność ziemi" będzie sztucznie hamowana.

Parę cyfr:

W Kanadzie spalono w r. b. zgórą dwa miljony buszli pszenicy. W Brazylji wrzucono do morza lub spalono w piecach ok. 300.000 worków kawy. W Egipcie spalono 200.000 tonn bawełny. W Oakland (Kalifornja) wylano do morza 650.000 litrów mleka. We Francji w lipcu r. b. wrzucono do morza zgórą trzy miljony sardynek. Rybacy bretońscy uczynili to samo z miljonami śledzi.

Tego Malthus nie przewidział.

Apel do publiczności

(jj) Dyrektor Teatru Miejskiego w Łodzi, Kazimierz Wroczyński, wystosował w dziennikach łódzkich list otwarty do publiczności, w którym ubolewa, że „w stosunku do liczebności miasta i walorów teatru zastęp publiczności nie odpowiada logice".

Dobre określenie. Właśnie, właśnie: mamy dużo takich spraw, które „nie odpowiadają logice".

Dyr. Wroczyński szuka przyczyn zła:

„Kryzys? Przy cenach miejsc tańszych, niż w kinie?... Apatja? Przeczy temu temperament Łodzi. Brak szerszych zainteresowań kulturalnych? Niemożliwe! A może to zjawisko zbiorowe, o którem mówi przysłowie: „Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie". I to chyba

GWIAZDKI I CHOINKI DLA UBOGIEJ DZIATWY



Wydawca Kurjera Warszawskiego, prezes Z. W. Feliks Mrozowski, składa życzenia przy opłatku biednym dzieciom. Fot. Jan Ryś



Gwiazdka w 36 p. p. Dzieci z Pragi, Targówka i Saskiej Kępy na wigilji w kasynie oficerskiem 36 p. p. Życzenia przy opłatku złożył im J.E. ks. biskup polowy Gawlina.



Colombina — odwieczny symbol Karnawału

nie, ponieważ opinja łódzka chwali swój teatr. Pozostaje tylko jeszcze jedno przypuszczenie — ostatnia ewentualność: Łódź jeszcze w tym sezonie nie „rozchodziła się" do swego teatru. A szkoda! Mija bo już czwarty miesiąc sezonu i zeszło z afisza już kilka dobrych sztuk. Szkoda i dla nas i dla Was".

Publiczność „nie rozchodziła się"....

I to określenie jest dobre. Da się zastosować do różnych dziedzin. Publiczność wogóle jeszcze się nie rozchodziła, nie rozczytała, nie rozpędziła na terenach życia kulturalnego...

A miesiąc za miesiącem mija. „Szkoda i dla nas i dla Was"...

Niewłaściwa rola

(jj) Taki oto dokumencik:

„Do Pana J.N. w Kłoczewie.

Redakcja „Gazety Powszechnej Garwolińskiej" za mojem pośrednictwem zwraca się do WPana o uregulowanie zalegającej przedpłaty po 45 gr. miesięcznie za wysyłaną gazetę od dnia 1 września r. b. Gdyby WPan nie życzył sobie nadal abonować wymienionej gazety, upraszam o powiadomienie na piśmie ze wskazaniem powodów. Wiadomość ta jest niezbędna redakcji „Gazety Powszechnej Garwolińskiej". Brak odpowiedzi na powyższe do dnia 15 listopada r. b. będzie uważany za zgodę na uregulowanie przedpłaty i tem samem dalsza wysyłka gazety będzie uskuteczniana. Kłoczew dn. 2 listopada 1934 r.

(—) Ludwik Zaręba, wójt gminy Kłoczew".

Czy pana wójta Zarębę pochwalić czy zganić? Troszczy się o rozwój prasy. To dobrze. Żąda, żeby czytelnik przerywający prenumeratę wyłuszczył powody. Bo jak wyłuszczy, to się może uwzględni... Pan wójt chce pomóc gazecie i pośredniczy w jej sprawach administracyjnych. Ma dobre chęci.

Ale w kwestji kompetencji p. wójta — nieco gorzej. I jeszcze jedno: kiedy abonenci gazety dowiedzą się, że, *jako abonenci*, będą mieli do czynienia z „władzą", to może taka okoliczność nie przyczyni się do rozwoju prasy...

Już lepiej, niech p. wójt wycofa się z tej roli.

ŚWIAT KSIĄŻKI

„WIĘZY" — Irena Pannenkowa. Wyd. Księgarni Ś-go Wojciecha.

Ze względu na czas, w jakim rozgrywa się akcja tej powieści — możnaby ją zaliczyć do „wojennych", ze względu na oświetlenie wydarzeń — do politycznych, ze względu na ujęcie — do psychologicznych.

Te trzy pierwiastki kolidują ze sobą pzez cały czas rozwoju akcji. Wprawdzie dramat osobisty Jana wiąże się dość logicznie, choć luźno, z wypadkami wojny, natomiast rozważania polityczne rozsadzają konstrukcję powieści niepotrzebnemi dla kompozycji dygresjami. Dygresje polityczne nietylko przekraczają ramy powieści, ale także wysuwają się na plan pierwszy, dając ciekawy przekrój ówczesnych stosunków politycznych w Polsce.

Poza trafnem odtworzeniem nastrojów części społeczeństwa polskiego w okresie Wielkiej Wojny—książka I. Pannenkowej nie wnosi do literatury nowych wartości.

Rwk.

„RAJSKI PTAK" — Jerzy Bandrowski, wyd. Księgarni Ś-go Wojciecha.

W powieści tej J. Bandrowski chce przedstawić dwa światy — „biały" świat poznańskiej wioski i „czarny" — wielkiego miasta. Jan Polata, poeta warszawski, odpoczywa po „burzach" życiowych w gospodzie „Pod Złotą Gwiazdą" w Rożewie i tutaj w atmosferze czystej i surowej znajduje właściwy wyraz dla swej twórczości: będzie pisać dla tego pobożnego, solidnego ludu wielkopolskiego, który, trawiony głodem dobrej książki, zwraca się do przekładów, nie znajdując wśród rodzimej literatury odpowiedniego dla siebie pokarmu.

Ciekawe i słuszne założenie gubi się w nierównym rytmie powieści. Naogół dobry rysunek psychologiczny postaci —nie może wypełnić książki, poruszającej zagadnienie o charakterze społecznym. Tymczasem zagadnienie to poznajemy tutaj pod kątem widzenia gigolowatego poety, oświetlane skąpo i bardzo powierzchownie.

Wysnuwanie daleko idących wniosków z takich faktów — budzi odruch sprzeciwu. Nie chcemy wierzyć autorowi na słowo i, wbrew jego zapewnieniom, przypuszczamy, że Polata, typowy wiejski kabotyn — niedługo wytrwa na wybranym przez siebie posterunku i po kilku latach sielanki z klasztorną wychowanką wśród zacnego ludu — zwieje do Warszawy ze swym „Rajskim ptakiem" z nocnego kabaretu.

Rwk.

Blacaman, król dżungli

Król Dżungli mieszka na Kopernika. Nie podam numeru, bo uczniowie szkół średnich zamęczyliby nieboraka. Nosi na podomu spodnie zielone, adamaszkowe, haftowane złotem, i białą lnianą koszulę. Włosy ma naprawdę takie, jak w cyrku. Pozwolił je ciągnąć — na próbę. Wygląda jak afrykańczyk z Libji. Ale mówi, że pochodzi z Kalkuty. I że jest fakirem.

Świta Blacamana składa się z 14 osób. Są wśród nich dwie dziewczyny: paryżanka i wiedenka — istne cuda piękności. Ale Blacaman jest nieczuły na wdzięki swych sekretarek. „Dla fakira — tłumaczy mi łagodnie — kobieta nie istnieje, jak naprzykład ludożerstwo dla europejczyka. Nie myśli się o tem, nie pragnie się tego".

Świta Blacamana opiekuje się całym pociągiem dzikich zwierząt. Są tam lwy, krokodyle, węże boa, okularniki, kupa małych lwiątek oraz kogut i kura. Chociaż być może że ta ostatnia para (jadalna) pochodzi z Polski.

Można nie wierzyć w najostrzejsze noże, po których Blacaman chodzi gołą stopą, wolno przypuszczać, że szkło tłuczone, na które się kładzie, zrobione jest z jakiejś masy miękkiej a dźwięczącej — ale że Blacaman hypnotyzuje zwierzęta — to fakt. Mały, krępy siłacz chwyta w ramiona krokodyla, kładzie go na stół, jednem pociągnięciem ręki przed oczami zwierza unieruchamia walący ogon i po sekundzie krokodyl wpada w stan kataleptyczny, otwiera paszczę, śpi. Blacaman wali go, przewraca, a ten ani mrugnie. Po kilku minutach Blacaman budzi krokodyla skupionym wzrokiem, krótkim dziwnym gestem — i znów zaczyna się bicie ogonem, kłapanie zębami, póki bydlę nie znajdzie się na piasku areny, bo wtedy łazi za Blacamanem, jak pies.

Najpiękniejszą swą sztukę pokazuje Blacaman w wysokiej srebrnej klatce nakrytej siatką. Jest w niej sam, i bezbronny. Nie ma nawet bata. Nagle do klatki wpada pięć lwic, płowych, wspaniałych!

Zobaczyły Blacamana i jak najwierniejsze psy zaczynają gryźć się między sobą o łaskę pańską. Każda chce polizać jego rękę, każda chce otrzeć się o jego ciało.

Następna sztuka nie jest piękna. Rozpoczyna ją pogromca, który rozjusza uderzeniami bata i strzałami olbrzymie lwy libijskie. Gdy zwierzęta dochodzą do szału, pogromca opuszcza klatkę, a na jego miejsce zjawia się Blacaman — znów nagi i bezbronny. Uspakaja lwy, zmusza je do milczenia, poprostu dmucha im w nos.

Blacaman pokazuje mi głęboką bliznę na nodze, pamiątkę po pewnym lwie, który nie chciał, aby ludzie kpili sobie z niego. Zapytuję Blacamana, dlaczego naraża życie w produkcji o tyle brzydszej od tej pierwszej, bezpiecznej, w której wygląda jak człowiek z Raju.

„Ludzie są okrutni — odpowiedział mi Blacaman. — Widziałem kiedyś w New Yorku wypadek samochodowy. Przechodnie nie spojrzeli nawet na rannego, który wypadł na bruk. Zbiegowisko tworzy się dopiero wtedy, kiedy mózg rozpryśnie się na bruku, albo kiedy przejechanemu wypłyną wnętrzności. Publiczność chce dostać za swoje pieniądze emocję, która pachnie nie tylko krwią, ale efektowną śmiercią". Blacaman skrzywił się w gorzkim uśmiechu i nagle wydał mi się człowiekiem bardzo zmęczonym.

Lwy leżą mu na piersiach, krokodyle dźwiga w ramionach, wchodzi na arenę jak Laookon opłątany kłębowiskiem wężowych cielsk — i ma śmiertelne znużenie w oczach — jakże to pogodzić?

Pytam Blacamana, jaka namiętność pchnęła go w to życie nieludzkiego wysiłku, niepokoju, grozy? „Zamiłowanie, głód sławy, pewno... — odpowiedział mi Blacaman — ale głównie okoliczności".

Powiedział mi jeszcze, że ma już dosyć tłumów, lamp łukowych i ryku gawiedzi.

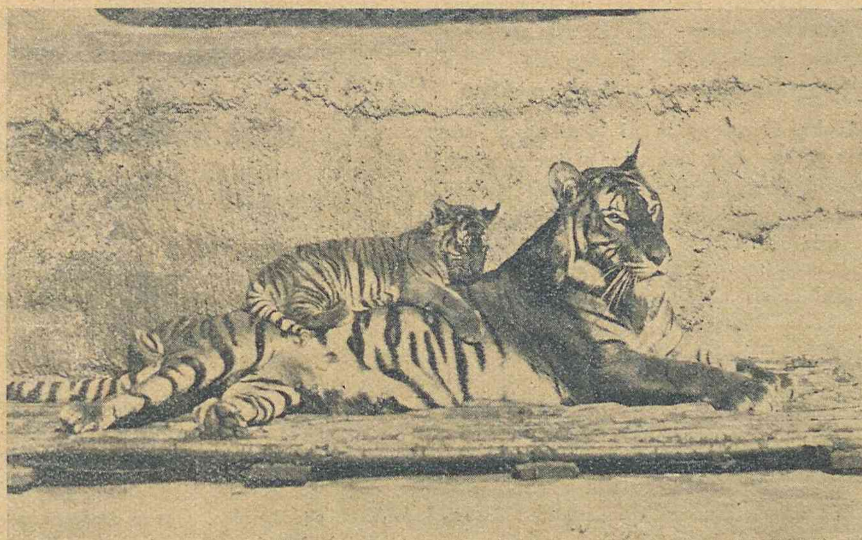
Zaplątał się w tysiące spraw, związał swe losy z losami innych niezmęczonych ludzi i teraz musi chodzić w jarzmie swej sławy, pisać kontrakty, zamawiać hotele, kontrolować impresarjów żarłoczniejszych od mieszkańców dżungli. Marzy czasem wieczorem, żeby pójść sobie na spacer, z rękami w kieszeniach, za miasto szeroką szosą, wprost przed siebie. Jest to dla niego równie niedostępne, jak dla nas obcowanie z lwami.

Zwierzęta nie męczą Blacamana! Zwierzęta zna i wie, czego im trzeba. Biedny Blacaman jest naprawdę bliski płaczu, gdy mówi, że najbardziej zmaltretowały go wizy i paszporty. Panowie urzędnicy w swoich nieokratowanych klatkach papierkami i stempelkami odebrali królowi dżungli wiarę we własne siły.

„Ja im daję jeść, a oni szczerzą na mnie zęby".

Blacaman stanowczo nie może tego zrozumieć.

Marjusz Dawn.



Władcy pustyni i dżungli, uśpieni przez Blacamana.

OD WARSZAWY DO SZANGHAJU

ANATOLJA

Komu ty jedziesz?
Jadę księżycowi
żeby się w konia
przeglądał kopytach.

(Słowacki).

Przed nami góry zjeżone gąszczem gajów laurowych, dzikich winogron, jakichś pnączy okrytych płowym puchem i zrudziałe na słońcu osty.

Osiedla ludzkie, chaty lepione z gliny o słomianych dachach, również gliną polanych, przysiadły zrzadka wśród gór, przylepione do zboczy nieprawdopodobną sztuką równowagi.

Koło Orhangaz mijamy jezioro Iznik, jak błękitne oko morza, rzucone wśród gór. Znowu pustynny krajobraz, trochę gajów oliwnych. Tak dojeżdżamy do Gemlik. Przed nami otwierają się góry na morską zatokę. Wzdłuż wybrzeża małe, białe miasteczko, zbudowane w ten sposób, że wszystkie uliczki wychodzą wprost na morze. I tak wśród małych domków bielonych w obramowaniu winogradu wciąż mija się okno otwartej ulicy, zalane słońcem i bezprzykładnym błękitem morza. Dalej, mały port rybacki i ruiny jakiegoś seraju. Znów wdzieramy się w góry, morze znika. Teraz jak okiem sięgnąć towarzyszą nam szare gaje oliwne. Oliwki szare, umarłe, powyginane w fantastyczne figury, wszystkie jakby stare i schorowane kaleki. Paskudne, rachityczne i ułomne drzewa.

Słońce chyli się ku zachodowi. Góry przechodzą w przełęcz i szeroki step, pokryty burzanem, zlewa się na horyzoncie z błękitnym pasem morza. Nie możemy porzucić Marmara bez pożegnania. Oto idealne pustkowie do rozbicia namiotu.

Wąską drogą polną i bezdrożem, poprzez gęste zwały krzewów motor pcha się naprzód. Morze znika z oczu, jak złudny miraż pustynny. Jedziemy dalej, droga rozwidla się, gdzie jechać? Wybieramy ścieżkę mniej uczęszczaną, chcąc ominąć wszelkie osiedla ludzkie. Za zakrętem opustoszała zagroda owiec. Dalej znowu walka ze stepem bez drogi.

Po kilku kilometrach skakania przez rowy wyjeżdżamy na brzeg stepu i morza. Jesteśmy na pastwisku wśród stada czarnych bawołów. Od lądu chroni nas skała pokryta laurem. Od zachodu otwarte morze. W odległości kilometra na wysokiej skale wyrasta osiedle ludzkie — ale nie wieś a ciflik (folwark).

Ustawiamy namiot. Słońce jak czerwona pomarańcza tonie w morzu. Bydło wraca swemi ścieżkami do domu. Podchodzą nieufnie czarne bawoły, węszą, patrzą i idą dalej, tonąc w burzanach po rogi. Z za skały wygląda blady księżyc. Cicho jest i srebrzyście.

Słyszymy kroki, ktoś się zbliża od strony ciflika. Wróg, czy przyjaciel? Podchodzi rosły, przystojny chłop, pozdrawia nas po francusku. Na tem kończy się jego znajomość języka. Po kilku nieudanych wywiadach lingwistycznych wpadamy na bułgarski. Dzięki trzydniowej praktyce w Bałkanach nauczyłam się dostatecznie, aby zrozumieć uprzejme zaproszenie na nocleg i kolację do ciflik, gdzie mieszka jego mademoiselle i jej mały brat. Dziękujemy, obiecując przyjść rano na śniadanie. Sen klei powieki. Ktoś dobija się do zamkniętego na noc namiotu. To parobek przysłany z wiadrem słodkiej wody. Wybudzeni gotujemy herbatę. Teraz znów na czarnym arabie galopuje nasz przyjaciel — pyta, czy nam jeszcze czegoś nie brak. Jeździec i koń, w blasku księżyca, jak widziadło, znikają wśród skał — tylko echo tententu idzie długo po stepie.

Słońce już wstało z za gór. Na fermie budzi się życie codziennej pracy. Bydło idzie w step. Namiot zwinięty. Jesteśmy gotowi do drogi. Z burzanów wyłania się złotowłosa Mademoiselle z lornetką w ręku otoczona orszakiem służby. Idziemy razem do jej domu. Ferma nazywa się Tuz la ciflik, co znaczy: słony folwark.

Panienka jest albanką z rodziny osiadłej w tym dworze od trzech pokoleń — ostatnia. Gospodarzy sama. Mówi ładnie po francusku, jest nieprawdopodobnie jasna.

W fermie białe ściany, niziutkie sufity. Salonik z fotografjami całej rodziny w albańskich strojach — wdzięk prostoty i prymitywu.

Pijemy kawę. U nóg plączą się płowe brytany, służba przychodzi nas powitać. Cicho jest i jasno. Przez okna wdziera się do wnętrza błękit nieba i morza.

Wychodzimy na taras. Prostopadła ściana skalna wyrasta wprost z morza. U naszych stóp, w zielonomodrej wodzie, mienią się w słońcu meduzy, jak jakieś kwiaty egzotyczne. Coraz śmignie mewa, jak biała kreska. Na pełnem morzu zdaleka majaczy łatany żagiel rybackiego kutra. Nad niebem, morzem i ziemią cisza upalnego południa rozpościera swe skrzydła. Jest w tem Tuz la ciflik coś, co pociąga i nie pozwala odejść. Trzeba przełamać ten czar i jechać dalej.

Droga do Bursy idzie w dalszym ciągu wśród gór. Dalej po przez srebrną pustynię dno wyschłego, słonego jeziora. A kilkanaście kilometrów pod miastem spada w szeroką uprawną dolinę.

Przed nami piętrzą się śniegiem pokryte szczyty — to łańcuch Kechich, ze starożytnym Olimpem w pośrodku. Wzdłuż drogi idą szeregiem niebotyczne topole i cyprysy. Taką od Boga sadzoną aleją wjeżdżamy do pierwszej stolicy Anatolji. U stóp Olimpu przysiadło małe miasteczko, pełne zabytków sztuki, starych świątyń, grobów sułtańskich, prześliczne w swej architekturze labiryntu wąskich uliczek. Miasto istniało już podobno w VI wieku przed Chrystusem. Nazwę swą Prusa, przekształconą z czasem, otrzymuje w II wieku p. Chryst. od Prusiasa I cesarza Bitynji. W 74 roku p. Chrystusem testamentem Nikodemosa III przechodzi we władanie Rzymu. Potem przechodzi z kolei w ręce Arabów i Seldżuków. Za IV wyprawy Krzyżowej jest znów bizantyjskie. Definitywnie w XIV wieku zajęte przez Osmanów jest przez dwa wieki ich stolicą. Przeszło wiele, ale zachowało w sobie tylko kulturę Seldżuków i Osmanów.

Na wąskich uliczkach ruch, hałas. Wystarczy zatrzymać maszynę na chwilę, by nasza zielona B.S.A. wraz ze mną, wciśniętą w kącik koszyka, utonęła w falującym tłumie natarczywych gapiów.

Zapas owoców, chleba i benzyny załadowany. Wracamy na szlak. Jeszcze parę wiosek skryło się pod górami, tonąc w zieleni, a dalej pustynny szlak wśród gór. Zrudziałe osty, tuman pyłu i żar sypiący się z nieba. Na zboczach pasą się czarne i rude kozy angorskie.

Warto teraz spojrzeć na drogę. Koloryt coraz intensywniejszy. Nareszcie pojawiają się stroje tureckie. Chociaż fez jest zastąpiony jakąś czapką, ale barwna chusta z pod niej powiewa, szeroki pas czerwony na brzuchu, szerokie spodnie charakterystyczne w swym kroju i łapcie z koźlej skóry. Kobiety na widok mężczyzny przysłaniają twarz i szybko odwracają się na stronę. Spotykamy coraz dziwniejsze pojazdy. Wozy - kosze, to znów drabiny nieprawdopodobnej wysokości. Stada objuczonych osiołków lub górskich koni. Tak wędrujemy niby szosą

do Bozüyük, tam kończą się góry i droga. Zjeżdżamy na trakt do Eskizehir. Toniemy w pyle niedoopisania. Gęsty biały tuman wisi w powietrzu. Mijane wozy widzi się jak przez mgłę. Zmuszeni jesteśmy dokładnie obandażować motor. Teraz step nabiera prawdziwego charakteru wschodu; na środku drogi rzucone ścierwo końskie, lub zbielałe na słońcu kości są jedną z częściej spotykanych dekoracji.

Od Eskizehir do Sivrihisar, jak step szeroki, we wsiach lepionych z gliny osiedli krymscy tatarzy. Jest ich tam podobno około 15 tysięcy.

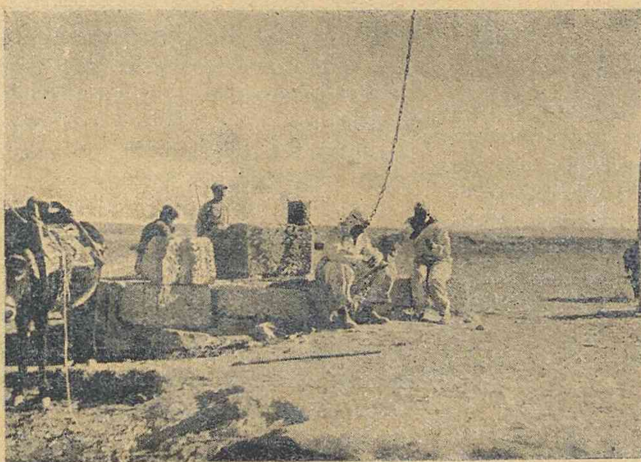
Cztery dni jedziemy na wschód. Gdy z wieczora za nami pali się złota kula słońca, przed nami blady księżyc wstaje. Tak wychyla się trzeciego dnia biała lampa księżyca z za koronkowej szarpaniny zwietrzałych skał. Otulony mrokami nocy, w amfiteatrze koronki z kamienia pulsuje intensywnem życiem wieczoru miasteczko Sivrihisar. Na progach usiadły kręgiem kobiety o zakrytych twarzach, ruch, hałas, niebo nieprawdopodobnie jasne, naświetlone blaskiem księżyca, mały wioskowy meczet i śpiew muezzina giną cy w gwarze ulicy. Niebo i księżyc są bliżej strzelistego minaretu i Boga, niż tłum zajęty współczesnym motorem i handlem wieczornym.



Stary Meczet









Przy marmurowej studni



Ta noc ostatnia, spędzona w skałach przy źródle na grobie derwisza, ma w sobie coś nieprawdopodobnego; zda się, że to dekoracja teatralna, a nie rzeczywistość.

W nocy nieustanny przeraźliwy skrzyp odbija się zgrzytliwem echem od skał, — to idą dwukołowe górskie wozy na pełnych drewnianych tarczach i drewnianych osiach.

Blady świt. Kompas w rękę i skalnem bezdrożem po upłazach, głazach i ruchomych kamieniach, stajemy do walki z terenem. Polatli: Coś, co jest na mapie, ale jak tam dojechać? Pustynny step. Czasem spotka się wieś, którą wsią trudno nazwać. Kobiety uciekają z krzykiem, mężczyzn niema, o drogę dowiedzieć się niesposób. Ostatni punkt orjentacyjny to Hamidye. Samotny zajazd i studnia na stepie. Konie, wozy, ludzie, wszystko stłoczone bezładnie koło studni. Zabieramy się z apetytem do dyni i chleba. W jakimś zrozumiałym tylko dla włóczęgów żargonie porozumiewamy się z towarzystwem przy studni.

Po skalnem bezdrożu wjeżdżamy w nagi step. Zrywa się wiatr pustynny. W ciągu kilkunastu minut jak okiem sięgnąć faluje pył, robi się ciemno, stajemy za samotnym głazem, by przeczekać pierwsze uderzenie suchej burzy. Kilka kropel deszczu, wiatr ucisza się trochę i we własnym pyle, gnanym z zachodu, posuwamy się naprzód. Ale deszcz był przed nami. Raptem z pustynnego piachu wpadamy w bagno, wózek tonie. Zaczyna się męka wydobywania motoru, wszystkie wysiłki napróżno. Znosimy z pola kamienie, układamy je w błocie i tak nadludzkim ostatnim wysiłkiem wyciągamy motor na suchą powierzchnię. Jeszcze parę godzin pustyni, jeszcze jeden zachód słońca i wschód księżyca i oto po asfaltowej szosie wjeżdżamy do nowej stolicy Turcji.— Ankary.

Ankara.

Halina Korolec-Bujakowska

Fot. Bujakowski



Górski zaprzęg w Anatolji





WSZĘDZIE BIUROKRACJA...

Sucha formalistyka i bezduszność biurokratyczna jest plagą, nie znającą granic państwowych. Państwo sowieckie jest nią obciążone w stopniu nie mniejszym, aniżeli inne państwa i społeczeństwa t. zw. burżuazyjne. Przytaczamy poniżej dwa prawdziwe zdarzenia zaczerpnięte z „Prawdy moskiewskiej".

FATALNY PRZECINEK

W Zaporożskim Instytucie Pedagogicznym rozgorzały zażarte walki klasowe o... przecinek.

Boje awangardowe rozpoczęły się w niesłychanie gorącej atmosferze. Na lekcji składni.

— W zdaniach złożonych, oświadczyła asystentka towarzyszka Liwszyc, przed wyrazem „i" należy kłaść przecinek.

— Nigdy w życiu, rzekł, miotając groźne spojrzenia, kierownik wydziału, tow. Słodki. Przed słowem „i" w zdaniach złożonych używanie przecinka jest zbędne.

I zagrzmiała bitwa.

— Ależ jakżeż można nie stawiać przecinka, jeżeli nietylko w książce nieboszczyka Szachmatowa (akademika!), lecz i najpopularniejszych podręcznikach szkolnych gramatyki powiedziano: „Przed słowem „i" w zdaniach złożonych bezwzględnie należy stawiać przecinek".

— N - n - nie wiem, złowrogo wycedził Słodki. Nie radzę.... I wyszedł.

Naprędce zwołano specjalne posiedzenie wydziału, poświęcone temu bolesnemu problemowi.

Przed zgromadzonymi wystąpił z płomienną mową niezmordowany bojownik anti - przecinkowy, towarzysz Słodki. Obecni rozbili się na dwa obozy. Przecinkofobi zawzięcie nacierali na przecinkofilów. Wobec niedostatecznego wyjaśnienia sprawy zmęczeni uczestnicy zebrania postanowili przenieść obrady na posiedzenie Kółka Naukowego.

Na posiedzeniu Kółka towarzysz Słodki wygłosił olśniewający erudycją i niezwykłą śmiałością myśli referat „O przecinku". Referent przekonywująco udowodnił, że jest wolnomyślnym i rewolucyjnym reformatorem w ciemnej i konserwatywnej nauce przecinkoznawstwa. Co się zaś tyczy jego oponentów, to, oczywiście, wszyscy oni są ofiarami rutyny i nie mają o niczem zielonego pojęcia.

Było to jeszcze bardzo delikatne sformułowanie. Studentów w napadach gniewu Słodki nazywa zwykle idjotami i bandytami.

Kółko uznało punkt widzenia towarzyszki Liwszyc za błędny i zaproponowało jej, by na każdym kursie, gdzie miała wykłady o interpunkcji, przyznała się publicznie do swego błędu.

A ponieważ tow. Liwszyc hardo nie przyznała się do swego krzyczącego o pomstę do nieba błędu, więc . . .

Krótko mówiąc, jest ona obecnie bez pracy i ma dużo czasu, by na wywczasach upewnić się na podstawie najlepszych źródeł, iż w kwestji prawideł interpunkcji *ma rację nie Słodki, lecz właśnie ona.*

A oto drugie zdarzenie (również autentyczne).

SANATORJUM — FORTECA

Południowe wybrzeże Krymu słynie z falistej linji brzegowej, z rybaków bałakławskich, z fontann bakczyserajskich, z pałaców chanów tatarskich, z piwnic massandrowskich i z ruin twierdz genueńskich. Tak było dawniej. A dziś Krym jest przedewszystkiem wszechsowieckiem uzdrowiskiem, a wiedzą o tem wszyscy ludzie pracy: mężczyźni, kobiety i dzieci.

Co się zaś tyczy Północnego Kaukazu, to i tutaj turyści nie mają się na co uskarżać. Osobliwości jest bez liku. Jedyny bodaj wyjątek stanowi pod tym względem miasto Kisłowodzk. Przyjezdni skarżą się:

— No, co to za miasto: „kurzał*) i nar-zan, nar-zan i kurzał".... Żeby był chociaż jeden wygasły krater albo chata drugiej żony Szamila (bohater walk o niepodległość Kaukazu)... Nudno...

Z pomocą zamiłowanym turystom przyszło sanatorjum, na frontonie którego widnieje napis: „Sanatorjum - twierdza". Zupełnie słusznie. Rewolucyjne, naiwnie wzruszające nazwy w rodzaju „Trudowoj Trud" (robocza praca), albo „imienia towarzysza Garibaldi" są niekonkretne i nie odzwierciadlają wewnętrznej istoty zakładu leczniczego. A „Twierdza" — to jakoś konkretne, i przyzwoite, i pachnie trochę historją.

Siłami zbrojnemi twierdzy zdrowotnej — to znaczy med-personelem — dowodzi niejakiś doktór Zijałow. Dowodzi i robi wszystko możliwe, by sanatorjum usprawiedliwiało swoją nazwę. Po pierwsze, żeby zzewnątrz nikt nie widział, co się dzieje wewnątrz. Po drugie, by twierdza była niezdobytą, i to nietylko dla osób postronnych, lecz i dla leczących się w niej pacjentów.

Najbardziej nieprzystępną figurą jest on sam, główny lekarz Zijałow. Żaden z chorych nie dostąpił nigdy zaszczytu, aby choć raz go ujrzeć. Sam on nie raczył jeszcze ani razu zaszczycić swoją obecnością sali szpitalnej, jadalni, gabinetów leczniczych. Chcąc mieć absolutny spokój w swojej rezydencji, otoczył się całą sforą lokajów, którzy z bezwzględną psią sumiennością strzegą jego pokoju przed natrętctwem przybyszów.

W czasie inspekcji kontrolnej wykryto następujące fakty:

Chory Soskala bardzo nalegał o widzenie się z głównym lekarzem, lecz Zijałow okazał się niewzruszonym i wydał pielęgniarce następującą dyspozycję: jeżeli jest chory, to wysłać do szpitala, a nie cackać się.

Chory Raduszkiewicz, po daremnych usiłowaniach zaproszenia lekarza do izby, sam udał się do Zijałowa. Rzuciły się na niego dwa krzepkie draby i Raduszkiewicz musiał się cofnąć pod naporem przeważających sił nieprzyjaciela. Grupa robotników - szturmowców: Żabrowskij, Szurygin, Gładkow, Trubczanow, Jakowlew, — nie uzyskawszy audjencji, usiłowała rozmówić się z doktorem przez telefon, lecz Zijałow zdjął słuchawkę i połączenie zostało przerwane. A la guerre, comme à la guerre...

Podczas inspekcji, ze słów pacjentów (współpracownicy milczeli jak ryby, albowiem w twierdzy — niema miejsca na krytykę) okazało się, że praca w sanatorjum jest wstrętnie zorganizowana, zarówno w dziedzinie postępowania leczniczego, jak i w dziedzinie gospodarskiej, a zwłaszcza odżywiania. Analogiczny obraz sytuacji ujawniono w innem sanatorjum: „Czerwony górnik" (Krasnyj Szachtior).

* * *

Podając powyższe fakty do wiadomości publicznej, autor sowiecki pisze: „Ta kisłowodzka „Twierdza" jest rzeczywiście prawdziwą *twierdzą*: bezduszności, biurokratyzmu i chamstwa, lecz jeśli niema — pisze autor bolszewicki — takich twierdz, których bolszewicy nie potrafiliby zdobyć, to nie powinno być i takich, których nie możnaby zburzyć. Zwłaszcza, jeśli jest to twierdza biurokratyczna".

(r. w.)

*) sala zdrojowa.

ŚWIAT FILMU



Słynna gwiazda filmowa, Joan Blondell, w życiu prywatnem żona Jerzego Barnesa nie gra tu roli: jest rzeczywiście szczęśliwą matką komicznego bobasa.



TYDZIEŃ FILMU POLSKIEGO

W jednym tygodniu na ekranach stolicy odbyło się aż pięć premjer polskich filmów, a więc zademonstrowano nam w okresie paru dni prawie połowę całorocznej naszej produkcji.

Na korzyść każdego z filmów nowej produkcji zapisać należy przeważnie doskonałe wykonanie techniczne, efektowne zdjęcia.

Kino „Pan" wyświetla film p.n. „Czarna Perła" z przemiłym gościem zamorskim—Reri, oraz Bodo. Rola Reri wypadła doskonale. Reri ma tyle wdzięku, czaru, prostoty, i mimo oryginalnego egzotyzmu, jest tak bardzo prawdziwa, że jej Moana żyje, wierzymy w jej przeżycia, dole, niedole. Bodo sam sobie zrobił krzywdę, szpecąc się niewłaściwą charakteryzacją i doborem odtwarzanej postaci. Zniczowi należą się specjalne słowa uznania. Na wysokości zadania: para Żelichowska i Brodniewicz oraz T. Frenkiel.

Następną zkolei premjerą były „Śluby Ułańskie" w kinie „Filharmonja". Mamy przedewszystkiem doskonale dobrany zespół, dużo szczerego sentymentu, ładnych zdjęć plenerowych. Zasługa to operatora p. Gniazdowskiego. Akcja toczy się żywo, dużo miłych piosenek, beztroskiego humoru. Wykonawcy czołowych ról (8 gwiazd ekranu: p.p. Modzelewska, Mankiewiczówna, Żabczyńska i Skwierczyńska oraz p.p. Conti, Brodniewicz, Skonieczny i Sielański), pod kierunkiem reżyserskim Krawicza i artystycznym Gardana role swe odegrali bez zbytecznego patosu, a odtwórcy postaci charakterystycznych z dużem poczuciem humoru.

Następny zkolei film oglądaliśmy w „Colosseum" p. t. „Przeor Kordecki, Obrońca Częstochowy". Reżyser i scenarzysta potraktował cały film pod jednym tylko kątem widzenia: tematu, który ma „wziąć" tłumy. Treści, poza paru fragmentami z Potopu, zresztą swoiście przerobionemi — niema, brak akcji, sceny batalistyczne dosyć efektowne, lecz niesłychanie naiwne. Jedyną żywą postacią jest Walter w roli brata - furtjana;

„Córka Generała Pankratowa" w kinie „Casino", — której wyświetlenie poprzedziły „wielkie wydarzenia", a w konsekwencji zmiana pierwotnego tytułu i usunięcie z treści obrazu postaci dziś żyjących,—okazał się filmem zrobionym z dużym smakiem artystycznym. Logika scenarjusza nic nie straciła na — dobrej zresztą — korekturze, a inteligentna reżyserja (Mieczysław Znamierowski) i wspaniała gra Nory Ney stworzyły film o pierwszorzędnej jakości. Szerokie pole do popisu znaleźli p.p.: Junosza - Stępowski, Jerzy Leszczyński, Brodzisz, Daniłowicz, Cybulski i inni. Zdjęcia śliczne, zarówno w plenerach jak i efektownych dekoracjach.

Ostatni z serji polskich filmów ukazał się „Młody Las" w „Apollo", według znanej sztuki scenicznej J. A. Hertza. Znów mamy lata 1905—6, znów oglądamy policjantów, rewizje w zakonspirowanych lokalach, słuchamy płomiennych przemówień — lecz jednak jakoś inaczej, odmiennie, niż to widzieliśmy dotychczas. Zwłaszcza sceny szkolne są pełne życia. Wspaniale odegrano scenę, w której uczniowie obrażają, a potem zawstydzeni, przepraszają swego nauczyciela — francuza (znów doskonały Znicz). Świetnym jest Bednarczyk w roli jedynego uczciwego i poczciwego profesora. Stępowski, Samborski, Jaracz... Doskonale popisała się i „młodzież" z miłą p. Bogdą, doskonałym Zacharewiczem, Cybulskim, Brodziszem.

St. Kr.

„Małe kobietki"

W ŚWIATOWIDZIE

Najbliższą premjerą będzie zabawna komedja amerykańska p. t. „Małe kobietki".

W roli głównej wystąpi nowa gwiazda ekranu, Katarzyna Hepburn, artystka o bardzo ciekawej karjerze życiowej, którą rozpoczęła od studjów uniwersyteckich, zdobywając aż trzy doktoraty. Lecz wkrótce pociągnęła ją scena, na której wystąpiła po raz pierwszy w roli.... mężczyzny. Z teatru do studio był już jeden krok i obecnie Katarzyna Hepburn jest ulubienicą całej Ameryki i Europy. Że zasłużyła na to, przekonamy się wkrótce.



Katarzyna Hepburn.



Co najmodniejsze?



SENSACJA SEZONU:

Wracają do mody wysokie trzewiki, sznurowane lub na guziczki. A na wieczór — greckie sandałki ze złoconej skóry i pierścienie na palcach u nóg.





A w krainie futer? Królewskie gronostaje z białemi lisami, breitszwance z lisem niebieskim i czarny aksamit z gronostajami











KĄCIK PRAKTYCZNY

„KANAPKI"

Na raucie wieczornym, popołudniowej herbatce, licznem, tanecznem czy brydżowem zebraniu, lub pogawędce w parę osób, kanapki stanowią niezbędną składową część przyjęcia — często przyjęcie całe.

Najczęściej popełnianym błędem jest przeładowanie takich kanapek. Dobrze jeszcze, jeżeli jednocześnie z tacą kanapek idzie druga z talerzykami, widelczykami i serwetkami. Lecz jeśli kanapkę trzeba jeść stojąc, bez żadnych narzędzi pomocniczych, to z pomidora pokrytego kopułą majonezu, na którym spoczywa sardynka lub kawałek łososia, zakończony jeszcze kaparkiem lub grzybkiem marynowanym, wszystko nagle zjeżdża na plastron koszuli frakowej lub na kolana wieczorowej toalety.

Na eleganckich zebraniach o czosnku, cebuli, szczypiorku i o specjalnie aromatycznym śledziu przy robieniu kanapek należy zapomnieć. Pozatem eleganckie kanapki powinny być małe, na jeden, dwa kąski najwyżej.

Najpraktyczniejsze, choć najmniej efektowne, są angielskie sandwich'e, z obu stron pokryte cieniuchną warstwą chleba. Żeby były smaczne, należy je układać w taki sposób, aby wewnętrzna ich zawartość była conajmniej tak gruba, jak oba kawałki chleba złączone.

Na *sandwich'e* długi, cienki chlebek pszenny okrajać z grubszej skórki, nadać mu kształt okrągły, owalny, czworo lub sześciokątny, pokrajać w płatki najwyżej półcentymetrowe (lepiej cieńsze), smarować każdy masłem, składać po dwa, przekładając w środku szynką, ozorem, roastbefem posmarowanym musztardą, serem i t. p. lub jedną z mas, które podam niżej.

Otwarte kanapki ślicznie wyglądają, jeśli na chlebie pokrajanym wzdłuż całego bochenka i posmarowanym masłem ułożymy paski: szynki, pasztetu, drobiu o białem mięsie, pomidora lub korniszonów, kładąc wszystko wzdłuż. Inna kombinacja: łosoś, jakiś biały ser (Brie, Camembert i t. p.), czarny kawior, utarte na masę sardynki i t. p. Jeszcze inna: paski węgorza lub innej wędzonej ryby, pasek szyjek rakowych, pasek sosu tatarskiego, pasek grzybków marynowanych. Następnie ostrym nożem pokrajać w poprzek na dwucentymetrowe kawałki lub na trójkąty o 5—6 centymetrowej podstawie.

Małe *„bouchées"* na jeden kąsek. 10 dkg. łososia utrzeć na masę i 15 dkg. masła, 10 dkg. szynki, dwa żółtka na twardo ugotowane i 10 dkg. masła również utrzeć na masę, 5 sardynek utrzeć na masę również z 10 dkg. masła lub dwiema łyżkami majonezowego sosu, śledzie uliki utrzeć na masę z 20 dkg. masła i t. p. Długą, cienką bułeczkę — baton otrzeć ze skórki, nadać jej kształt okrągły lub czworokątny 2 × 2 centymetry, krajać w cienkie płatki, układać na niej masę w zręczną kopułę, karbować maczaną w wodzie łyżeczką. Trzymać na chłodzie do chwili podania. Takie masy można urozmaicać do nieskończoności, można ich też używać do zakrytych sandwisch'ów.

Pani Elżbieta.



KOBIECA MĄDROŚĆ

Mężczyzna umie pieniądze zarobić, ale kobieta potrafi rozumnie je zaoszczędzić. Dlatego niema wśród kobiet instytucji popularniejszej niż P. K. O., której dewizą jest „PEWNOŚĆ I ZAUFANIE".

KOSMETYKA PANI ZOJI

„ODNOWIENIE"

W nowym roku; kiedy stawiamy pierwsze kroki, pomyślmy o tem, że i nam nie zaszkodziłoby się odnowić.

Poprostu powiedzieć sobie, że od nowego roku będę starannie pielęgnować swoją skórę codziennie, systematycznie, aż się odnowi i odświeży.

Chodzi tylko o mocne postanowienie i systematyczną pielęgnację. Czy to zabiera dużo czasu lub wiele kosztuje? Bynajmniej. W ten sposób wymawiają się tylko leniuszki!

Aby odnowić i odświeżyć cerę—należy oczyszczać skórę nie więcej niż 1 — 2 razy na miesiąc w gabinecie kosmetycznym — pozatem pielęgnować się własnoręcznie.

Są panie, które mają wielkie zdolności do kosmetyki — te potrafią same sobie radzić, lecz większość, pielęgnując się na własną rękę, popełnia dużo błędów i dlatego od czasu do czasu potrzebna im jest fachowa rada.

Własnoręczna pielęgnacja kosmetyczna polega na przestrzeganiu zasad higjeny, na dokładnem oczyszczaniu skóry i żołądka oraz na stosowaniu właściwych środków kosmetycznych.

Trzeba więc postanowić zająć się własną pielęgnacją, gdyż to wcale nie jest takie trudne — odnowić skórę i odtąd zawsze ładnie wyglądać.

PORADY KOSMETYCZNE

„ABY PIĘKNIE WYGLĄDAĆ"

Dla ułatwienia stosowania rad — „aby pięknie wyglądać" — będziemy je podawać według doskonałej metody racjonalnej pielęgnacji *ELOE*, która obejmuje wszystkie dolegliwości urody, mając odpowiednie środki na każdy wypadek.

Dla „Starszej Pani".

Po pierwsze nadała Pani sobie niewłaściwy tytuł, gdyż my nie uznajemy innych pań, jak tylko młode!

A jeżeli ma pani zmarszczki pod oczami lub fałdy dookoła ust — jest to tylko skutek zaniedbania. Należy skórę odpowiednio myć i odżywiać.

Na pani zmartwienie możemy polecić doskonały preparat *ELOE-JUNO*, który zawiera składniki o działaniu odradzającem tkankę, i po krótkim użyciu usuwa fałdy i zmarszczki.

Pani Lidja N.

Otwarte pory, na które skarży się Pani, są następstwem zbyt tłustej cery. Wobec tego, aby pozbyć się otwartych porów — powinna Pani myć twarz b. gorącą wodą 2—3 razy dziennie, po umyciu zaś przecierać płynem *ELOE - DEFURUM*, który wysusza skórę, niszczy wągry oraz ściąga pory.

„Odmrożone ręce".

Rzeczywiście dość późno zwróciła się Pani po radę, skoro już od 3-ch lat ma Pani odmrożone ręce, lecz przy energicznem stosowaniu zabiegów — może Pani odzyskać białość i miękkość rąk. Należy do tego stosować przemienne kąpiele z zimnej i gorącej wody w ciągu 10 minut, następnie smarować maścią *ELOE - FRYGORA* na noc, a także wychodząc na mróz.

Zapytania o porady kosmetyczne kierować należy:
SALON ZOJA
ul. Służewska 4, Warszawa.

REWJE MODY





Wanda Wermińska



Stoimy w obliczu karnawału. Najwyższy czas, aby zapoznać się z wymaganiami mody bieżącej i wybrać coś najbardziej odpowiedniego dla siebie. Odbyły się ostatnio w Warszawie dwie wielkie rewje mody, pierwsza w Teatrze Wielkim, połączona z festiwalem tanecznym i śpiewaczym, druga w Café Adria. Obie zgromadziły najwytworniejszą publiczność stolicy.

Specjalne zdjęcia dla „Świata" J. Malarski

Fr. Jarosy

M. Wawrzkowicz



p. S. M.

Nie mniejszem zainteresowaniem, niż kawały Fryderyka Jarossy'ego, cieszył się jego frak w którym król conferencierów stał się niedościgniony wzorem szyku i elegancji. Frak p. Jarossy'ego pochodził z pracowni firmy L. BIŻUTO (Złota 6), która słynie z wykonywania urzędowych strojów dyplomatycznych, fraków, smokingów i innych strojów galowych.

Obecna moda wskazuje najdobitniej, jak niezbędnemi akcesorjami eleganckiej toalety są rękawiczki. Cały szereg sukien popołudniowych, a nawet wieczorowych, jest nie do pomyślenia bez odpowiednio dobranych rękawiczek. Gustowne rękawiczki do wszelkich sukien, prezentowane na rewji pochodziły wyłącznie z magazynu rękawiczek E. KARŁOWICZA (Marszałkowska 85).

Po raz pierwszy biorąca udział w rewji niedawno założona wytwórnia galanterji skórzanej oraz artykułów podróżnych „REN" (Marszałkowska 81b) zademonstrowała szereg efektownych torebek z najmodniejszych egzotycznych skór, jak aligatorów, latających ryb, zebry, krokodyla lub salamandry. Duża kolekcja torebek wieczorowych i popołudniowych świadczy najlepiej iż firma „Ren" posiada obszerny asortyment, jak dowiadujemy się, o bardzo przystępnych cenach.

Beztrosko żartował i bawił publiczność jeden z licznych conferencierów rewji p. Laskowski, którego z F. Jarossy'm łączyło prócz conferencierki jedno słowo „Bižuto", gdyż twarzowy garnitur p. Laskowskiego pochodził również z renomowanego zakładu krawieckiego L. BIŻUTO (Złota 6).

Niespodzianką było ukazanie się znanego tenora M. Wawrzkowicza, który, po dłuższym pobycie zagranicą, gdzie studjował nowe przejawy i formy artystycznego wypowiedzenia się, występuje w najświeższym programie „Starej Bandy".

Wykonany na premjerę wytworny frak p. Wawrzkowicza, o którym jednogłośnie mówiono, że leży jak ulany, zdumiewał swem wprost precyzyjnym wypracowaniem, a pochodził ze znanego magazynu ubiorów męskich ADOLFA ZAREMBY (Wspólna 36), który ubiera szereg osób ze świata artystycznego i eleganckich sfer stolicy.

Niezrównana „Carmen" — Wanda Wermińska po powrocie z tryumfalnego tourné z zagranicy odśpiewała szereg przepięknych pieśni ludowych. Na zdjęciu p. Wermińska w specjalnem uczesaniu ludowem, wykonanym w znanym w stolicy salonie artystycznego fryzjerstwa „CLEO" (Mazowiecka 12), gdzie czesze się stale najwybredniejsza klijentela. Pantofelki p. Wermińskiej z magazynu wytwornego obuwia K. FILIPCZAKA (Chmielna 17).

Ruchliwa jak zawsze dyrekcja domu modnych tkanin I. CWEJKO (Bielańska 23) przedstawiła szereg pięknych nowości karnawałowych z ostatnich zakupów p. Henryka Cwejko w Paryżu. Efektowny sposób demonstrowania i bogata kolekcja najmodniejszych tkanin, jak mory, velours'y, tafty, mattellassé i cloqué metal, sprowadzonych aeroplanem z Paryża, wykazał, iż pod każdym względem dom modnych tkanin I. CWEJKO wysuwa się zdecydowanie na czoło firm branży włókienniczej.

St. Laskowski





Paleta z żywych kwiatów

Pokazy mody w Teatrze Wielkim odbywały się na tle olbrzymiej palety malarskiej z czarnego aksamitu, na której farby zastąpione były przez barwne plamy artystycznie upiętego żywego kwiecia. Toalety pań, efektownie odcinały się od tej pomysłowej i kosztownej dekoracji, wykonanie której stawia kwiaciarnię ZBIGNIEWA TOMCZYKA (Aleja Szucha 2) w rzędzie czołowych zakładów ogrodniczych stolicy. Należy dodać, iż na obydwóch rewjach rozdawane wśród publiczności gustowne wiązanki mimozy, fijołków i innych sezonowych kwiatów opakowane były w celofan, jak wszystkie kwiaty wychodzące z kwiaciarni Z. Tomczyka.



Z. Żmigród-Fedyczkowska

W części koncertowej również wzięła udział znana śpiewaczka p. Zofja Żmigród - Fedyczkowska, która wśród niemilknących oklasków odśpiewała szereg utworów. Na zdjęciu p. Z. Żmigród-Fedyczkowska w twarzowym uczesaniu „Permanente" wykonanym w jednym z najstarszych i najbardziej fachowo prowadzonym zakładzie fryzjerskim „EWARYST" Marszałkowska 114, przy którym mieści się równocześnie luksusowa perfumerja.

Brawo „Śluby Ułańskie"!

SUKCES POLSKIEGO FILMU W „FILHARMONJI"....

Dawno już nie było takiej premjery! Pokaz inauguracyjny filmu polskiego „ŚLUBY UŁAŃSKIE" zamienił się w wielką manifestację publiczności, zachwycającej się treścią, reżyserją, grą artystów i muzyką.



Tola Mankiewiczówna

Modzelewska, Mankiewiczówna, Conti, Brodniewicz i Walter zdobyli oklaski widowni, które nie przebrzmiały jeszcze długo po skończonem przedstawieniu. Efektownie wypadły sceny wojskowe, rewja, wymarsz pułku i manewry. Piosenki miłe i łatwo wpadające w ucho.

To też gdy publiczność opuszcza kino „Filharmonja", śpiewa chórem nowy przebój Hemara „To jest awans dla panny".



Chlubnie znany wśród eleganckich pań salon obuwia KAZIMIERZA FILIPCZAKA (Chmielna 17), postanowił dostosować front swego magazynu do nowoczesnych wymagań estetyki urbanistycznej.

Na zdjęciu widzimy przebudowany front magazynu. Jako materjałów użyto szkła, niklu chromowanego i rurek neonowych, co złożyło się razem na nadzwyczaj efektowną całość. Na zbliżający się karnawał K. Filipczak poleca pantofelki wieczorowe i balowe w najmodniejszych fasonach.

BARRY PAIN

ZGUBIONY CZEK

(Nowela)

Pan Bradshaw ponownie rozejrzał się starannie po pokoju, poczem dwukrotnie nacisnął dzwonek stojący na biurku. Biurko było gładkie, mahoniowe i leżało na niem tylko kilka papierów. Clinton wszedł. Był to młody mężczyzna o lnianych włosach i zaczerwienionych obwódkach naokoło znużonych oczu. Spędził pół nocy na czuwaniu nad chorem dzieckiem. Pan Bagshaw zauważył wygląd Clintona i posądził go o nocną hulankę.

— Panie Clinton — rzekł — pięć minut temu pan wypełnił za mnie czek na okaziciela na mój osobisty rachunek, przyniósł go pan do mnie, a ja go podpisałem.

— Owszem, proszę pana, czek na siedemdziesiąt funtów.

— Przypomina pan sobie, że mnie właśnie wtedy wywołano. Pozostawiłem czek na biurku. Wychodząc zauważyłem, że pan podchodzi do biurka.

— Tak, panie dyrektorze. Podałem panu swoje wieczne pióro, a pan położył je przy czeku. Podszedłem je zabrać.

— Hm. W każdym bądz razie, kiedy wróciłem, czeku nie było. Przejrzałem wszystkie papiery na biurku, lecz go nie znalazłem. Czy pan ma tu coś do powiedzenia?

— Okno jest otwarte, panie dyrektorze. Może przeciąg zwiał go na podłogę.

— I mnie to przyszło do głowy. Patrzałem na podłogę, ale i tam czeku nie było. Może pan chciał oszczędzić mi kłopotu i zajść sam do banku, odebrać dla mnie gotówkę. Byłoby to niepotrzebnem i nawet nieodpowiedniem narzucaniem swoich usług, lecz —

— Nawet nie śniłoby mi się zrobić coś podobnego.

— Radziłbym się nad tem zastanowić, bo jeśli pan nie zdoła znaleźć ani czeku ani gotówki za niego należnej, straci pan nietylko posadę, ale prawdopodobnie swobodę ruchów również.

Clinton lekko się zaczerwienił. Jego myszkujący nieco wzrok obiegł szybko pokój, poczem na ustach jego zawitał półuśmiech.

— Wobec tego, panie dyrektorze, muszę znaleźć czek. Zdaje mi się zresztą, że pan na nim siedzi. Dostrzegam rożek papieru.

Pan Bradshaw zerwał się z fotela jak oparzony, pochwycił czek i wezwał imienia Bożego.

— Pan przypuszczał — zaczął Clinton.

— Przypuszczałem — przerwał mu pan Bradshaw — Wstydzę się tego i przepraszam pana.

— Dziękuję, panie dyrektorze. A więc zostaję na posadzie?

Pan Bradshaw potrząsnął przecząco głową.

— Żałuję, lecz nie mogę zatrzymać kogoś, kto widział, że palnąłem kapitalne głupstwo. Jestem pewien, że będę mógł znaleźć panu równie dobrą a może i lepszą posadę, a póki tego nie zrobię, pensja będzie panu akuratnie wypłacana. Teraz jednak musi pan opuścić biuro natychmiast.

Popchnął czek w stronę Clintona i dodał:

— Niech pan to zainkasuje i zaraz zacznie wakacje. Kiedy popełniam omyłkę, naznaczam sobie karę sam.

Clinton wziął czek, wybąkał podziękowanie i wyszedł jak we śnie.

A więc będą mogli wywieźć małą nad morze....

Sport w Radjo

Referat Sportowy Polskiego Radja zamierza transmitować 1-szy występ międzynarodowy polskich narciarzy na terenach olimpijskich w Garmisch Partenkirchen w Niemczech, gdzie odbędą się mistrzostwa narciarskie Niemiec z udziałem polskiej drużyny reprezentacyjnej.

Następnie Referat Sportowy P. R. ma zamiar transmitować mistrzostwa narciarskie Europy w Wysokich Tatrach w Czechosłowacji, w których również biorą udział nasi narciarze.

Przed świętami Bożego Narodzenia Referat Sportowy P. R. rozesłał do szkół powszechnych, z Funduszu Rozdawnictwa Sprzętu Sportowego kilka kompletów siatkówki, saneczki, łyżwy, książki i t. p.